CZWARTEK
Nr 5 85-01-10 Cena 5 zł

# ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW





Fot. K. Adamowski

# PRECZ Z NOSEM Z MARCHEWKI!

Po co od razu granit, piaskowiec czy marmur? Tylko zimą wspaniałe plastyczne tworzywo spada artystom prosto z nieba. Jest niestety troszkę nietrwałe, a Pani Pogoda, od której zależy „dostawa", bywa kapryśna... Tym bardziej więc nie należy pomijać żadnej okazji, by wyćwiczyć się w trudnej sztuce... lepienia bałwanów. Bo dlaczego niby bałwany miałyby być stereotypowe? Precz ze sztampą! Precz z nosem z marchewki!

Ponoć w dalekiej Japonii Wasi skośnoocy koledzy rokrocznie urządzają konkursy na śniegową rzeźbę. Na skwerkach, w ogródkach, na placach pojawiają się śniegowi ludzie, zwierzęta, a nawet... smoki. A przecież i nam inwencji, zręczności i śniegu nie brakuje. Wyzywamy więc na pojedynek wszystkich, którzy pragną spróbować swych sił w śnieżnej konkurencji. Jeśli zdążycie przed odwilżą uchwycić obiektywem fotograficznego aparatu swe dzieło — koniecznie się pochwalcie. Autorów najpiękniejszych ulotnych monumentów ogłosimy wielkimi Mistrzami Śnieżnej Rzeźby. To honorowe miano będą nosić aż do przyszłej sanny. Czekamy!

**(eb)**

---

*BYĆ SAMORZĄDNYM... (19)*

## *BAJKA O TRUDNOŚCIACH OBIEKTYWNYCH*

*Był sobie raz samorząd szkolny. Dzięki czarodziejskim sztuczkom przewodniczącego - działał jakoś i przetrwał jeden rok. Po roku trzeba było opowiedzieć, co się zrobiło, czyli (jak się to praktykuje w niebaśniowym świecie) - złożyć sprawozdanie. Zdawałoby się, że otwarty zostanie cały Sezam sukcesów i dokonań, a tymczasem...*

*Koła samopomocy koleżeńskiej w nauce rozpadły się już w listopadzie. Ostatni udany numer gazetki szkolnej — to był numer trzeci, a do tej pory powinno ich być z dziesięć. Od połowy roku dyżury są wyznaczane i pilnowane przez nauczycieli, bo komisja porządkowa ogłosiła swą bezradność i upadłość. Owszem, było kilka zabaw: jakiś wieczorek z quizem, dwie dyskoteki, ale to właściwie zorganizowali wychowawcy klas przy pomocy niektórych rodziców. Owszem, było Święto Szkoły, ale program tego święta ułożyła pani dyrektor. A jakże, na Dzień Nauczyciela wręczono pedagogom kwiatki, które każdy przyniósł, zakupione za pieniądze rodziców.*

*Ponadto samorząd mógł się pochwalić, że został przed rokiem wybrany, zorganizował trzy zebrania, został gdzieś zaproszony jako delegacja i... na tym koniec. Straszna bajka.*

*Więc: czarowanie. Czyli tłumaczenie: tego nie mogliśmy, bo nie było chętnych, na tamto zabrakło pieniędzy, nie mamy czasu, bo lekcje kończą się o różnych porach, nie ma w szkole farb i papieru, nikt nam nie chce pomóc..*

*Przewodniczący samorządu, jako główny czarodziej, wyrzekł wszechmocne zaklęcie: MIELIŚMY TRUDNOŚCI OBIEKTYWNE!*

*Czar prysł. Przewodniczący użył tu słów, które zasłyszał gdzieś lub wyczytał. W niebaśniowym świecie ludzi dorosłych posługują się tym zaklęciem ci, którzy swoje niedołęstwo, brak pomysłowości i energii chcą usprawiedliwić „niemożnością".*

*Samorząd - to nauka, jak osiągać cele MIMO trudności. Zasłanianie się trudnościami obiektywnymi (czyli rzekomo niezależnymi od nas) jest objawem wyuczonej bezradności, czyli mydleniem oczu innym i sobie. Można z tym żyć długo - ale marnie.*

***Julian Konstanty***

## Dziś na stronie ósmej coś, czego nigdy dotąd w „ŚM" nie było!

**Dwaj znani autorzy - Bolesław Orłowski (tekst) i Tadeusz Raczkiewicz (rysunki), rozpoczynają prezentację najciekawszych wynalazków, jakie od początku świata do współczesności wymyślił człowiek.**

**„Najkrótsza historia wynalazków", którą przedstawiamy na naszych łamach w dwudziestu odcinkach, ukaże się nakładem Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia" - jak dobrze pójdzie - już w przyszłym roku. (tem)**

## HARCERZE Z KOSZALINA POPŁYNĘLI W REJS DOOKOŁA ŚWIATA!

Sezon żeglarski mamy poza sobą. Na Bałtyku szaleją sztormy, ale nie wszystkie jachty zeszły na zimowy spoczynek.

W chwili kiedy czytacie ten numer, harcerski jacht z Koszalina „TROPICIEL" —zawija do któregoś z portów Panamy, by w maju dotrzeć na Wyspy Galapagos następnie na Markizy, Tonga i zatrzymać się na dłużej w Australii. Koszaliniacy odwiedzą następnie — już prawdopodobnie w roku 1986 - Indonezję, zajrzą na Morze Czerwone, by przez Morze Śródziemne skierować się w stronę kraju. Do Kołobrzegu powinni wrócić w czerwcu 1986 roku.

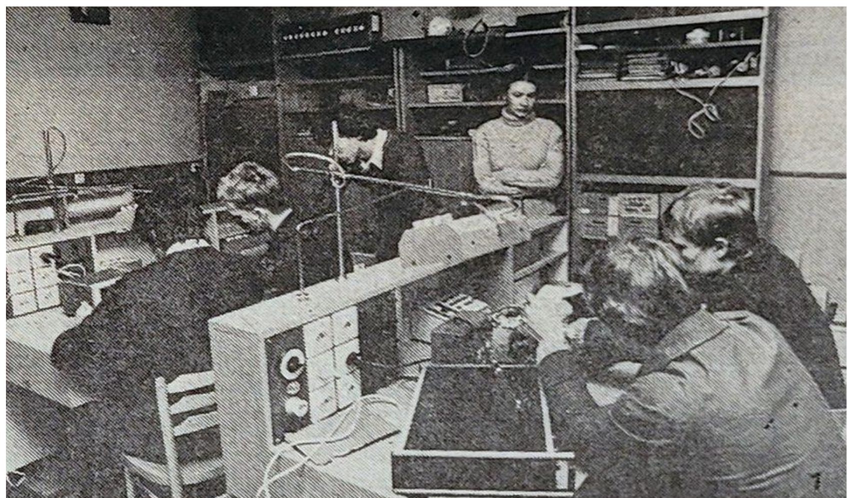
Ta niebagatelna wyprawa - do przepłynięcia jest około 32 tysięcy mil morskich -zamierzana była od lat Stała się realna, kiedy Centrum Wychowania Morskiego i Wodnego GK ZHP przekazało chorągwi koszalińskiej dwa jachty — „Tropiciela" i „Odkrywcę".

Obie jednostki były w strasznym stanie i wymagały generalnego remontu, który powinni przeprowadzić fachowcy. Sprawa była beznadziejna. Który zakład przyjmie harcerzy, nie dysponujących na ogół większą gotówką?

I oto na żeglarskim sejmiku wystąpił instruktor chorągwi i kapitan żeglugi wielkiej jachtowej (który za rejs na przełomie lat 1981-1982 na jachcie „Wojewoda Koszaliński" do Cape Horn, otrzymał najwyższe polskie żeglarskie trofea — Srebrny Sekstant i nagrodę „Rejs Roku '82") w jednej osobie- — **druh Ryszard Wabik** Zaproponował, że znajdzie wykonawców remontu tak „Tropiciela", jak i „Odkrywcy", że go osobiście dopilnuje, w zamian za wypożyczenie jachtu na dwa lata. On zaś zorganizuje na tej jednostce rejs dookoła świata. Sejmik poparł tę propozycję i wyraził zgodę, jeśli oczywiście druh Wabik w pełni wywiąże się ze zobowiązań. Wkrótce potem rodzimy zakład pracy druha Ryśka-„TEPRO" - przyjął obie jednostki do swoich warsztatów, a następnie przedsiębiorstwo rybackie „Barka" w Kołobrzegu znalazło luzy w swojej stoczni i remont dokończyło.

Tak się szczęśliwie składa, że koszalińska chorągiew nawiązała współpracę z Ligą Morską, która również marzyła o wielkim rejsie. Liga — za udział swoich uczestników - podjęła się zdobycia gotówki. W ten sposób wśród sześcioosobowej załogi „Tropiciela" znalazło się czterech harcerzy i dwóch członków Ligi Morskiej.

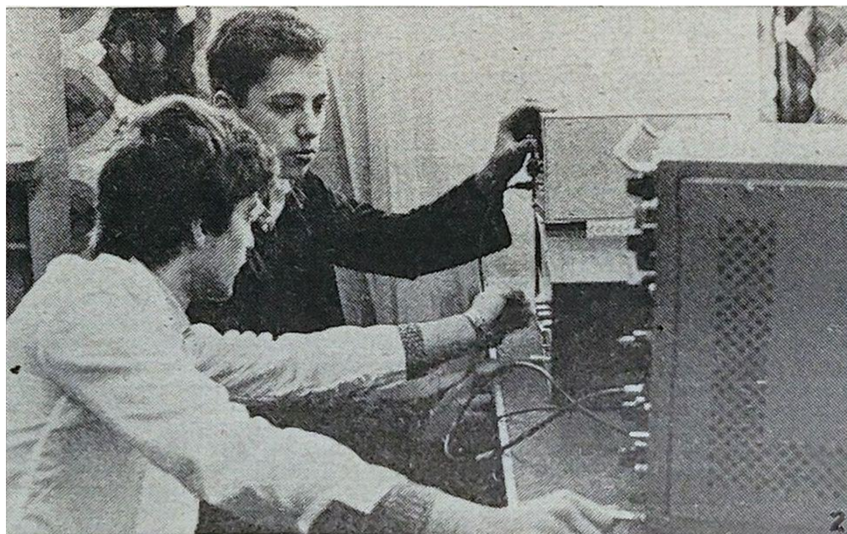
Warto jeszcze dodać, że załoga „Tropiciela" — posiadająca bardzo małe konto dewizowe, postanowiła na swój rejs zarabiać, gdzie się tylko da. I to jest naszym zdaniem również godne pochwały. **(wm)**



## WSPÓŁDZIAŁANIE

**(CAF)**. Zespół Szkół Elektronicznych w Zielonej Górze i zielonogórskie Zakłady Aparatury Jądrowej „Polon" zawarły przymierze: szkoły przygotowują kadrę dla zakładu (technicy elektronicy i specjaliści w zakresie montażu aparatury elektronicznej), wykonują odpłatnie w warsztatach szkolnych prace zlecane przez Zakład a „Polon" przekazuje szkołom narzędzia, materiały elektroniczne, podzespoły do celów dydaktycznych i prac dyplomowych, umożliwia praktykę w zakładzie i udostępnia swoją bazę socjalną uczniom i nauczycielom.

Na zdjęciach: zajęcia z techniki cyfrowej (1) i w laboratorium telewizyjnym (2)



## CO MNIE TRZYMA W DRUŻYNIE

Moje harcerstwo zaczęło się dwa lata temu. Nie należałam do drużyny zuchowej, ponieważ właściwie taka drużyna w mojej szkole nie istniała. To znaczy była... na papierze. W ogóle to mogę tylko żałować, że nie urodziłam się trochę później, bo teraz drużyna zuchowa w mojej szkole jest naprawdę. Prowadzi ję Druhna Dorota (dla mnie pani od historii) i należy do niej moja młodsza siostra. Zbiórki są tak fajne, że wraca z nich z wypiekami na buzi i ta sama buzia nie zamyka się jej, gdy o nich opowiada. Oczywiście — tajemnicy też umie dochować. Za nic na przykład nie chciała zdradzić w domu, dlaczego z kolejnej zbiórki wróciła z zielonym sznureczkiem na lewej ręce, zawiązanym w trzy supełki.

Mój początek w drużynie... Właściwie nie mogę się pochwalić, że było fantastycznie i ciekawie. Zbiórki odbywały się niezbyt regularnie, długo nic nie mówiło się jacy powinniśmy być, kim jesteśmy. Swoją harcerską edukację uzupełniałam w domu, w rozmowach z mamą, która co prawda przestała być harcerką, ale zawsze z pasją mówi o harcerstwie.

W minione wakacje po raz pierwszy wyjechałam na obóz harcerski do Lubiatowa. Pierwsze zetknięcie z prawdziwym harcerstwem: namioty, zbiórki, apele, podchody, zwiady terenowe, harcerskie ogniska i piosenki, i po dwóch latach - nareszcie harcerskie przyrzeczenie. I własny harcerski krzyż przypięty do munduru (bo na obóz pojechałam—ja i moje koleżanki z drużyny z krzyżami pożyczonymi (l); dała je nam druhna drużynowa, ale zażądała, by po obozie je zwrócić).

Tego wszystkiego nie da się opisać, opowiedzieć i... zapomnieć. Jeszcze teraz śnią . mi się warty z przygodami, „zaślubiny z morzem", wspaniały marsz plażą aż do Białogóry (14 km) i cudowne zachody słońca. Z obozu wywiozłam smak prawdziwego harcerstwa. Ale wróciłam do szkoły i do drużyny, w której znów nic się ciekawego nie dzieje. Z czyjej winy? Nie umiem na to odpowiedzieć. Może moja drużynowa tak naprawdę nie lubi harcerstwa? Może nie umie albo nie chce go nas nauczyć, albo też nie ma dla nas czasu? Wiem za to, że w drużynie trzyma mnie właściwie świadomość, że jest to przecież to samo harcerstwo, w którym kiedyś pracowała mama.

**Justyna**

## KILKA UWAG

Niedługo minie 11 lat od chwili, gdy znalazłem się w drużynie zuchowej. Przez te lata zdobyłem wiele sprawności, doszedłem do stopnia ćwika. Pełniłem też różne funkcje: od szeregowego, poprzez kronikarza zastępu, podzastępowego, zastępowego, przybocznego, drużynowego, magazyniera i w końcu kwatermistrza. Na swych 18 obozach stałych i wędrownych oraz zimowiskach byłem uczestnikiem, zastępowym, instruktorem komendy, obozńym i zastępcą komendanta. Ale nie o sobie chciałbym tu pisać, ale o uwagach i obserwacjach poczynionych przez te kilka lat przynależności do Związku Harcerstwa Polskiego. Uwagi te dotyczą zarówno samej organizacji, jak i jej członków.

Jako że zawsze należy zaczynać od początku, trzeba by było powiedzieć coś z naborze do ZHP, a ściślej o sposobach. Ale o tym powiedziano już w tym miejscu tak dużo i tyle razy, że już wystarczy. Natomiast sprawą wiążącą się bezpośrednio z naborem jest Prawo i Przyrzeczenie Harcerskie. W artykule początkującym dyskusję na temat harcerstwa, przeczytałem w jednej z wypowiedzi, że „każdy szanujący się harcerz powinien je (Prawo) znać na pamięć". I tu, moim zdaniem, następuje błąd w rozumowaniu. Co z tego, że harcerz nauczy-się ńa pamięć jego tekstu? Przecież to wcale nie jest jednoznaczne z tym, że będzie traktował poważnie treści w nim zawarte. Według mnie sedno tkwi w zrozumieniu Prawa - w zrozumieniu każdego z osobna i wszystkich razem punktów tego harcerskiego kodeksu. I w tym szeregowemu harcerzowi powinni pomóc jego koledzy - przełożeni, czyli zastępowy, przyboczny czy też drużynowy — ogólnie rzecz biorąc doświadczeni harcerze. Ale żeby komuś pomóc w zrozumieniu czegokolwiek, trzeba samemu wiedzieć o co chodzi... Ważne jest, by przystępujący do przyrzeczenia chłopak czy dziewczyna, wiedzieli już dobrze czemu i co przysięgają „całym życiem". Bowiem dopiero wtedy może powiedzieć z czystym sumieniem, że jest harcerzem czy harcerką. Bo być harcerzem, to nie znaczy być kryształową postacią w momencie wstąpienia w szeregi ZHP, ale dążyć do tego, by postępować zawsze zgodnie z Prawem i Przyrzeczeniem Harcerskim.

Po przyrzeczeniu następuje okres „trwania w drużynie". Harcerz jak każdy człowiek, ma swoje ambicje, które narastają z biegiem czasu. Czynią to tym gwałtowniej, im wolniej odbywa się wspinaczka delikwenta po kolejnych szczeblach struktury drużyny. I tak dochodzi do tego, ca potocznie nazywa się walką o władzę. Brzmi to trochę nienaturalnie, ale jest problemem gnębiącym zdecydowaną większość drużyn i szczepów. Jasne, że u steru powinien zawsze znajdować się ktoś, kto się do tego nadaje, a więc osoba rozsądna, opanowana, nie działająca pochopnie oraz przede wszystkim posiadająca doświadczenie i wiedzę. Wymieniłem doświadczenie przed wiedzą, gdyż według mnie najszersza wiedza z zakresu psychologii, a także i innych nauk potrzebnych w pracy z dziećmi i młodzieżą nie zastąpi doświadczenia zdobywanego przez lata w drużynie.

Jeszcze jedno. Znam kilka takich drużyn, które po psiągnięciu pewnego poziomu w szkoleniu, w wyrobieniu harcerskim zatrzymały się i działają już tylko z rozpędu.




Nie mogę zaprzeczyć, że poziom tych drużyn jest wyższy niż „średnia krajowa". Ale jednocześnie zamykają się one we własnym towarzystwie (każda w swoim). I wydaje mi się, że popełniają błąd. Na samych przechwałkach typu: „My jesteśmy lepsi, a oni to..." poprzestawać nie można - trzeba stwarzać okazje do konfrontacji. Bo jak inaczej można udowodnić swoją wyższość nad innymi, jeśli nie poprzez bezpośrednie skonfrontowanie umiejętności? Efekt będzie dużo lepszy, kiedy z inicjatywą wspólnej imprezy, biwaku czy wycieczki wystąpi drużyna będąca na wyższym poziomie (przynajmniej w jej mniemaniu), a jeżeli sama nie wystąpi z taką propozycją, niech przyjmie cudzą.

Z drużyną, która nie podejmuje żadnych szerszych akcji na terenie swego działania, która nie bierze w ogóle udziału w imprezach organizowanych przez inne drużyny lub szczepy, komendę hufca itd., nikt się nie liczy i nie traktuje jej poważnie. I nie pomogą tu długie tradycje czy też znaczne osiągnięcia w przeszłości.

Jest to zaledwie skromna część uwag i wniosków, które mi się nasunęły wciągu 11 lat służby. I dlatego chętnie nawiążę kontakt z tymi, którzy się ze mną zgadzają, a jeszcze chętniej z tymi, którzy mają inne zdanie.

**ćwik Jan Gutorski**
**uL Tadeusza Jotejki 12 m. 9**
**02-317 Warszawa**

## TO TRZEBA PRZEŻYĆ!

Kochana Redakcjo! Wiele razy zadawałam sobie pytanie: „Jakie jest moje harcerstwo", a właściwie jego szczątki, bo drużyna już nie istnieje. Jeżeli chciałabyś poznać odpowiedź, przeczytaj historię jednej z wielu zwyczajnych drużyn. Oto ona.

Wrzesień 1983 r. Pewnego dnia odwiedził naszą klasę (ówczesną 8a) osobliwy pan. Jego wygląd zewnętrzny nie był nadzwyczajny, natomiast charakter od razu urzekał. Część dziewcząt go znała, byli razem na obozie w Opocznie, a teraz okazało się, że pragnie on założyć nową harcerską drużynę. Tak się zaczęło.

Zbiórki z druhem Januszem (piszę o nim per druh, choć Janusz prosi, by zwracać się do niego po imieniu; zauważyłam, że to szokuje jego podwładnych) były fantastyczne, zupełnie odmienne od tych, które mieliśmy z poprzednią drużynową.

Nigdy nie nudziliśmy się. Poznawaliśmy masę piosenek, pląsów, musztrę, techniki harcerskie. Właśnie dopiero wówczas, gdy zetknęliśmy się z Januszem, kiedy po raz pierwszy wyjechaliśmy wspólnie na „Powakacyjne Spotkanie z Piosenką" do Gdańska, przekonaliśmy się, ile nam brakuje do prawdziwych harcerzy, nawet nie mówiąc o umundurowaniu. Przez trzy miesiące solidnie pracowaliśmy, organizowaliśmy biwaki, cudowne zbiórki, by wreszcie pojechać na zimowisko i przekonać się, że podciągnęliśmy się w wiedzy o historii harcerstwa, samarytance, szyfrach, strukturze ZHP, czego dowodem było zajęcie czołowych miejsc w biegu podsumowującym.

Równolegle z pracą zastępu .Żurawi" w 7 Podlaskiej Drużynie Harcerskiej im. Batalionu Zośka prowadziłam drużynę zuchową „Wesołe Słoneczka" (formalnie byłam przyboczną, ale drużynowa nie pomagała mi w tej pracy). I to jest najwspanialsza radość (pewnie kręcisz nosem na to określenie) jaką mi dało ZHP.

W drużynie zuchowej byłam KIMŚ, kimś kogo się słucha, radzi, pyta (wówczas miało to dla mnie ogromne znaczenie, ponieważ w klasie zaczynał spadać mój autorytet; przestała się liczyć wiedza, a moja mrukliwość, małomówność nie zjednywała mi kolegów). Zabawa z zuszkami to wielka frajda, szczególnie wtedy, gdy widzę ich błyszczące oczy i otwarte buziaczki w czasie gawędy.

Co się dalej działo z 7 PDH? Zbiórki, przygotowania okolicznościowych imprez, kompletowanie umundurowania, zdobywanie sprawności, wystawienie „Hamleta" na wesoło. Wszystko byłoby dobrze gdyby nie to, że Janusz musiał odejść z naszej drużyny. Czułam się wtedy nieszczególnie, chodziłam posępna. Niedługo jednak narzekałam, bo w sierpniu wraz z kilkoma koleżankami i Januszem pojechaliśmy na obóz do Mikołajek. Tam było jak dawniej, znowu cieszyłyśmy się zdobywając dwa pierwsze miejsca w końcowym biegu, siadając przy cudownym ognisku, śpiewając obozowe piosenki.

Janusz musiał wyjechać do sąsiedniego województwa, ale nie zapomina o nas. Stara się, kiedy tylko można, zebrać nas w kupę; niedawno wróciliśmy z Gdańska, planujemy wyjazd do Rajgrodu.

_ Rozpisałam się o drużynie, ale o tym, co mi dała, nie wspomniałam. W jakie słowa mam ubrać wrażenia z cudownych obrzędowych ognisk, z marszruty przy zdobywaniu „Szarej Lilijki", z pierwszej nocnej warty, długich zuchowych kominków? To jest takie piękne, że nie będąc poetą, nawet nie warto wysilać się na opisywanie. Bo się nie uda. To trzeba przeżyć i należeć oczywiście do ZHP.

Na pewno, Redakcjo, chciałabyś zapytać o wartości trwałe zdobyte dzięki harcerstwu. Upór, ambicja, pokonywanie własnych słabości, pracowitość, opanowanie paraliżującego lęku, docenianie wysiłku innych, wyczulenie na cudzą niedolę... Mogłabym pisać w nieskończoność.

Ważną rolę w moim krótkim życiu odegrało ZHP, skoro utwierdziłam się w przekonaniu, że zostanę nie tylko nauczycielką, ale i instruktorką. Zaś moimi ideałami są ludzie związani z ZHP takiej miary jak Janusz, „Zośka", „Rudy", „Alek", Druh Kamyk.

**Anka Siemieńczyk**




### Jak zapobiec samotności?

Chciałbym zaproponować czytelnikom „Świata Młodych", żeby spróbowali odpowiedzieć dlaczego człowiek, który często żyje tuż obok nas, czuje się sam. Jest samotny, bez prawdziwego przyjaciela, Każdy z nas żyje w innym środowisku, na pewno każdy ma takich rówieśników, którzy czują się samotni, załamani czy wręcz oszukani przez życie lub otaczający ich świat.

Dlaczego tak jest? Dlaczego przeglądając różne czasopisma młodzieżowe można często przeczytać— niemal w każdym numerze - informacje typu: „Mam 15 lat i mimo wielu kolegów czuję się samotny. Szukam przyjaciół". Jeszcze raz pytam — dlaczego? Przecież my żyjemy obok nich, powinniśmy wiedzieć, jak im pomóc. Jak zapobiec tej zaraźliwej chorobie samotności; która w naszym egoistycznym świecie zbiera coraz większe plony. Dlaczego tak niewielu nas umie się prawdziwie cieszyć życiem? Czy powodem tego jest brak życzliwości i zrozumienia ze strony drugiego człowieka? Pytań jest wiele. Ale same pytania nic nie pomogą, jeśli nie zaczniemy .działać, nie zaczniemy interesować się drugim człowiekiem.

Do jednej klasy chodzi się razem kilkanaście lat, a przez te x lat nikt nie zdąży się nawet zastanowić (nie mówiąc o dowiedzeniu się) jakie problemy ma kolega czy koleżanka. Jak wygląda jego życie? Razem jesteśmy w szkole i gdy skończą się lekcje, rozchodzimy się do domów i zapominamy osobie. Nie interesuje nas, czy tam ktoś dziś znowu przez, cały wieczór będzie sam, znowu będzie się włóczyć po ulicach nie dlatego, że rodzice mu na coś nie pozwalają, ale dlatego, że jest samotny. Czy tak musi być? Sądzę, że nie. Takie jest moje zdanie na ten bardzo na czasie i ńie cierpiący zwłok? temat. A co o tym . sądzą Czytelnicy? '

**Waldemar Grzegorz Rompca**

### Mój sposób bycia

Przed moim blokiem często spotykam towarzystwo z butelkami piwa i z papierosami: Bywa tam wielu chłopców, ale widuję i dziewczęta. Ja nie zaliczam się do tego towarzystwa i z ulgą patrzę na rówieśniczki,, które też postępują tak jak ja. Mam 15 lat, chodzę do liceum ogólnokształcącego, w Poznaniu. Należę dó dziewczyn, które nie piją i nie palą, a nawet (nie chwaląc się) nie mówię brzydkich wyrazów. Nie mam chłopaka bo niestety nie ma w motm otoczeniu takiego, na którego mogłabym zwrócić uwagę.

**Monika z Poznania**

### Nasza przyjaźń nie natrafia na przeszkody

: Piszemy w sprawie listu Aśki (130 nr „ŚM") pt. „W przyjaźni nie ma miejsca dla trzech osób". Uważamy że jest. Poznałyśmy się cztery lata temu, w VI klasie szkoły podstawowej. Dwie z nas przeprowadziły się z innej dzielnicy na nasze osiedle. Po pewnym czasie dołączyła i ta trzecia. Można powiedzieć, że od tego czasu zaczęła się nasza przyjaźń. Po zajęciach szkolnych zawsze spotykałyśmy się u którejś z nas. Jeździłyśmy razem na rajdy, wycieczki, chodziłyśmy do kina i na lody. Po skończeniu VIII klasy każda z nas .wybrała inną szkołę średnią, ale to nie przeszkadza naszej przyjaźni. Także nie stoją na przeszkodzie chłopcy. Każda z nas ma lub miała chłopaka, ale przyjaźnimy się do tej pory. Jeśli któraś z nas ma kłopoty lub potrzebuje pomocy, zwraca się bądź do jednej, bądź do drugiej i zaraz pomoc taką otrzymuje.

**Iza, Beata i Sabina**

*Moje harcerstwo*

## NIE JEST TAK ŹLE, JAK NIEKTÓRZY SĄDZĄ

Przez długi czas byłam zuchem, później harcerką. Uczęszczałam na zbiórki, aby podczas wakacji wyjechać na obóz. Drużynę mieliśmy fatalną, druhny wiecznie kłócące się między sobą i nie umiejące nic zorganizować. Mijały lata i ja, choć szczyciłam się noszeniem szarego munduru i Harcerskiego Krzyża, nie rozumiałam idei tej organizacji. Nie znałam tego prawdziwego harcerstwa.

Na początku VII klasy szczepowa powiedziała nam o organizowanym biwaku w pobliskiej stanicy p.n. „Róża Wiatrów"; miał być harcerskim startem. Już na dworcu zaskoczenie; surowa dyscyplina, rozkazy, wszystko to, było dla nas, nieopierzonych harcerek, nowością. Wsiadamy do pociągu. Niedługa była to jazda, ale wystarczyła, by zapoznać się z niezwykle miłymi harcerkami i harcerzami z Drużyny Czerwonych Beretów. Wysiadamy. I tu okazuje się, że będziemy musieli przejść 15 km (nigdy wcześniej nie szłam tak długo z plecakiem i nie wiedziałam, że to będzie takie wyczerpujące). Pierwsze 7 km szliśmy szosą, następnie przez las. Droga wiodła prosto do morza więc była piaszczysta, uciążliwa i ciężka do przebycia. Szliśmy 3 godz. Do Szklanej Huty, bo tak nazywa się miejscowość, w której mieści się stanica, dotarliśmy o godz. 23.00. Zakwaterowaliśmy się spać. Ale jak tu spać, gdy ma się przedsmak czegoś nowego. Całą noc spędziłyśmy na harcach i zabawach. Poznani w drodze harcerze grali i śpiewali, uczyli nas harcerskich piosenek, abyśmy mogły jakoś zaprezentować się na ognisku. O godz. 2:00 wyszliśmy nad morze (800 m od stanicy). Noc była bardzo ciemna. Gdy dotarliśmy na brzeg zaczynał się właśnie wschód słońca. Było na co patrzeć; z morza wyłaniał się wielki, mieniący się ciepłymi barwami lej. Jest to tak piękne, że nie da się tego opisać, a gdy to się widzi po raz pierwszy, zostaje w pamięci na długo.

Pierwszy dzień upłynął nam na zabawach, było bardzo wesoło, ale pomyślałam sobie, że to znów będzie zwykły biwak, a nie harcerska przygoda. A jednak... Gdy zapadła noc, zagraliśmy w „świetlika", a później w „zdobywców wartowni". Po tych harcach poszliśmy na ognisko. Pozostanie ono na długo w mojej pamięci, bowiem było inne niż wszystkie dotąd; niezwykłe i piękne, naprawdę harcerskie. Panowała na nim bratnia atmosfera. Trzej druhowie grali na gitarach, a my wraz z nimi śpiewaliśmy poznane nocą piosenki. Zabawom, i śmiechom nie było-by końca, gdyby druh komendant nie oznajmił ciszy nocnej. Zanim jednak położyłyśmy się spać, minęło sporo czasu. Nasze głośne rozmowy i śmiechy obudziły komendę, która wyznaczyła nam pracę poza kolejnością — szorowanie kotłów po obiedzie. Choć praca była niezbyt przyjemna, wyszorowałyśmy te kotły z uśmiechem. Kiedy wróciłyśmy do namiotów, dh Marek powiedział, że. w nagrodę za bardzo solidną pracę opowie nam o historii naszej organizacji.

W ciemnym namiocie, przy słabym płomyku świeczki, druh rozpoczął swą gawędę. Opowiadał o początkach harcerstwa, później o obronie Warszawy, „Szarych Szeregach". Było to wzruszające, a gdy druh wspomniał bohaterską obronę wieży spadochronowej, płakałyśmy jak bobry. Druh wyjaśnił nam także sens istnienia harcerstwa i jego ideę. Zaczynałyśmy wreszcie coś pojmować, z nocnej lekcji zapamiętałyśmy wiele.

Takie było moje spotkanie z harcerstwem i myślę, że właśnie takie jest harcerstwo. Uśmiechnięte, wesołe, ciekawe, a zarazem zdyscyplinowane i surowe. Chciałabym, żeby moje harcerstwo było takie zawsze. Owszem, to prawda, że popełniono w nim wiele błędów, ale w każdej dziedzinie popełniono w ostanim okresie błędy. Oczywiście, czyjeś błędy nie usprawiedliwiają tych popełnionych w ZHP, ale w harcerstwie też są tylko ludzie, a ludzie jak ludzie, są różni. Ale w końcu to przecież od nas zależy, jakie będzie harcerstwo w przyszłości. O to, aby doświadczenia z dotychczasowej, działalności ZHP nie poszły na marne i o to, aby nie powtarzać tych samych błędów, musimy zadbać sami. I jeśli się postaramy, to na pewno będzie lepiej, choć nie jest aż tak źle, jak niektórzy sądzą. Moje oczekiwania związane z harcerstwem zostały spełnione. I choć nieraz za dużo w nim teorii niż praktyki, moje harcerstwo jest piękne.

**Temperówka**

## Sto wierszy o kulturze

# Ciocia płakała jak wiolonczela...

Pisałam już kiedyś, że nie wiem ile kilometrów dzieli Pacanów od Zakopanego, wiem natomiast, że w stolicy Tatr, na ul. K. Przerwy-Tetmajera 15 mieści się muzeum autora przygód Koziołka Matołka, „Awantury o Basię" i „Panny z mokrę głową". Wybrać się tam trzeba koniecznie, bo w trzypokojowym mieszkaniu, wśród starych mebli, pięknych tkanin, artystycznej porcelany i obrazów mistrzów z początków naszego stulecia: Wyspiańskiego, Skoczylasa, Stryjeńskiej, Styki, zachowało się sporo pamiątek po pisarzu, który miał słońce w herbie.

Zanim jednak autor przygód Jacka i Placka, „Grzechów dzieciństwa" i „Szatana z siódmej klasy" zyskał miano niedoścignionego humorysty, zdobył tysięce entuzjastów wśród młodzieży, został honorowym obywatelem miasta Zakopanego i osiedlił się na dobre u stóp „samiuśkich Tater", najpierw (a było to przed I wojną światową), pracował na poważnych państwowych posadach kierownika literackiego teatrów w Kijowie i Lwowie. Zaś po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, kierownicy stołek zamienił na pióro recenzenta, krytyka, felietonisty i przez kilkanaście lat drukował w prasie warszawskiej.

Kiedy miał trzynaście lat, znał na pamięć „Kordiana" Słowackiego, fascynował go urok „Serca" Amicisa, a debiutował zbiorem wierszy „Połów gwiazd" (1908). Oczywiście zaraz potem napisał humoreski-„Rzeczy wesołe" (1909) - te bowiem najlepiej odpowiadały jego pogodnej naturze. Bo Makuszyński to cudowny gawędziarz i, kpiarz, człowiek wielkiej dobroci i serca, który jedynie z rozsądku raz na jakiś czas wpadał w złość, dla lepszej — jak sam mawiał — przemiany materii.

Kochał i uwielbiał postrzelone dzłwadła i zwariowane panienki, przygarniał do piersi chmary nioznośnych urwisów, zaś czytelnicy dosłownie szaleli za każdą jego roześmianą książką. Ci co bardziej drobiazgowi wyłapywali z nich arcysmaczne i dowcipne porównania w rodzaju: „ciocia płakała jak wiolonczela, która maluczko, a mogłaby być basem", „chwytała z trudem powietrze jak karp, który dowiedział się, że zbliża się Boże Narodzenie", „potężnym sercem babci można było wbijać gwoździe w ścianę, jak żelaznym młotkiem". Kto w latach trzydziestych potrafił pisać tak książki dla młodzieży—dobrotliwie i z sympatią, bez nudnego dydaktyzmu i patosu?...

Ma się rozumieć, że klasyk humoreski i lekkiego feliotonu, miał również dowcipnych kolegów, którzy razu pewnego z okazji imienin pana Kornela postanowili przesłać mu jakiś efektowny prezent. Antoni Słonimski — też nie ponurak, wspominał, że razem z poetą Lechoniem i reżyserem Schillerem, prześcigając się w hojności, dokonali szeregu zakupów. „Kupiliśmy dwanaście gipsowych biustów Kościuszki. Cztery balie. Osiem desek do prasowania. Dwanaście szaflików. Dwa tysiące gilz do papierosów. Dwadzieścia tuzinów kamieni do białych butów. Sto kilo buraków. Wszystko to miało być kolejno przez specjalnych posłańców dostarczone do mieszkania solenizanta. Wydaliśmy kilkaset złotych. Za ostatnie grosze kupiliśmy jeszcze tonę węgla. Nie były to zakupy całkiem bezmyślne. Wiedzieliśmy, że Kornel ma centralne ogrzewanie, nie pali papierosów, nie lubi buraków, nie ma białych butów i nie prowadzi gospodarstwa. Poza tym ma dość ciasno mieszkanie. Po dokonaniu tych wstrętnych czynów poszliśmy do Kornela na imieniny. Nie dostaliśmy się do mieszkania, bo przed domem i na schodach była straszna draka i tłok".

Kiedy w grudniu 1937 roku wielki humorysta z Krupówek, inicjator zawodów oraz fundator nagród w biegach narciarskich imienia Koziołka Matołka, dostąpił wielkiego zaszczytu i zasiadł w szacownym gronie członków Polskiej Akademii Literatury; w akademickiej prelekcji, opartej na „najlepszych klasycznych wzorach francuskich", powiedział to, co charakteryzowało również jego literacki żywot: „Zamiarem moim jest zdobycie przyjaznego spojrzenia dla tych niepoliczonych książek polskich, co nie żądają dla siebie olimpijskiej ramki, pełnią pracę rzetelną, jak pionierskie karczowanie lasu, a przenigdy nie zasługują na to, aby je sobie ważyć lekce, dlatego tylko, że są tknięte czystą radością".

W ubiegłym roku, w stulecie urodzin autora „Awantury o Basię" Prezydium Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL przyznało nagrody dziennikarzom — autorom publikacji prasowych, audycji radiowych i telewizyjnych. Pierwszymi jej laureatami zostali Stanisław Aleksandrzak z „Płomyczka", Jadwiga Dąbrowska z telewizji oraz Zdzisław Nowak zTygodnika Ostrołęckiego. Natomiast 101 rocznicę urodzin pana Kornela, która przypada w styczniu br., przypomni filmem „Szaleństwa Panny Ewy" telewizja, zaś krakowskie Wydawnictwo Literackie przygotowuje do druku nie znaną dotąd, przypadkowo i niechcący odkrytą historyjkę obrazkową.

Kto i w jaki sposób utrwali pamięć o Kornelu Mskuszyńskiem na co dzień, a nie od święta?... **(tem)**



## Spotkania z techniką wielką i małą

# TELEFON NA NIBY

- *Halo, czy to mieszkanie państwa Kowalskich?*
- *Tak, ale u nas nie ma telefonu!!*

Ten telefoniczny dowcip przypomniał mi się podczas przygotowywania kolejnego odcinka, tym razem poświęconego zabawie w domową łączność. Oto trzy propozycje. Najprostszy telefon można zbudować bardzo, szybko. Składa się on z dwóch pokrywek od puszek metalowych lub tekturowych. Pokrywki, albo same puszki, o ile są niezbyt duże, oczyszczamy i —jeśli trzeba - zaginamy brzegi blachy, aby uniknąć skaleczenia. W obu pokrywkach wywiercamy-dokładhie pośrodku-btwory o średnicy 1-2 mm. Można je również wykonać wbijając w cienką blachę mały gwóźdź.,Tylko pamiętać trzeba o podłożeniu w miejscu przebicia - kawałka drewna. Obie pokrywki łączymy nicią (np. kordonkiem) albo żyłką wędkarską o długości maksimum 10 m. Najwygodniej przywiązać końce nici do małych drewnianych kołeczków, które umiejscowią nić w pokrywkach. Telefon dla najmłodszych gotowy. Wystarczy teraz silnie naciągnąć nić i - proszę mówićl Mówimy do otworu jednej puszki, a ktoś inny przykłada ucho do drugiej puszki. Później następuje zmiana. Teraz my odbieramy głos naszego rozmówcy. Odbiór nie jest tak dobry, jak w prawdziwych telefonach, ale coś słychaćl Łatwo zauważyć, iż z chwilą zwolnienia linki-przewodu dźwięk zanika. Tylko naprężona nić przenosi drgania, które wywołaliśmy mówiąc do „mikrofonu".

Telefon drugi jest już bardziej doskonałym urządzeniem. Oo jego budowy potrzebne są stare niskotonowe słuchawki radiowe, albo dwa małe głośniM od radia tranzystorowego np. GD-7; GD-9 lub inne elektrodynamiczne. Naturalnie, nie muszą to być podzespoły najwyższej jakości, ważne, aby nie były uszkodzone. Głośniki łączymy przewodem izolowanym. Jeśli chcemy prowadzić rozmowy na odległość przekraczającą 15 m, wystarczy przewód o średnicy 0,5 mm; przy odległości około 50 m potrzebny będzie przewód o średnicy 0,9-1,0 mm. Końce przewodów trzeba przylutować (przy pomocy taty) do końcówek głośników. Łatwo stwierdzimy, że taki telefon działa znacznie sprawniej od poprzedniego. I tutaj drgania fal dźwiękowych przekazywane są membranie głośnika.

Zamiast dwóch przewodów można zastosować jeden. Drugi uziemiamy, jak pokazano na rysunku, dołączając np. do sieci grzejnej czy wodociągowej. W ogródku można podłączyć drut do metalowego pręta wbitego głęboko w ziemię. Jeślibyśmy mieli głośniki tzw. elektromagnetyczne, starego typu, to za pomocą podanego systemu istnieje nioźliwość porozumienia się na odległość nawet do 200 m!

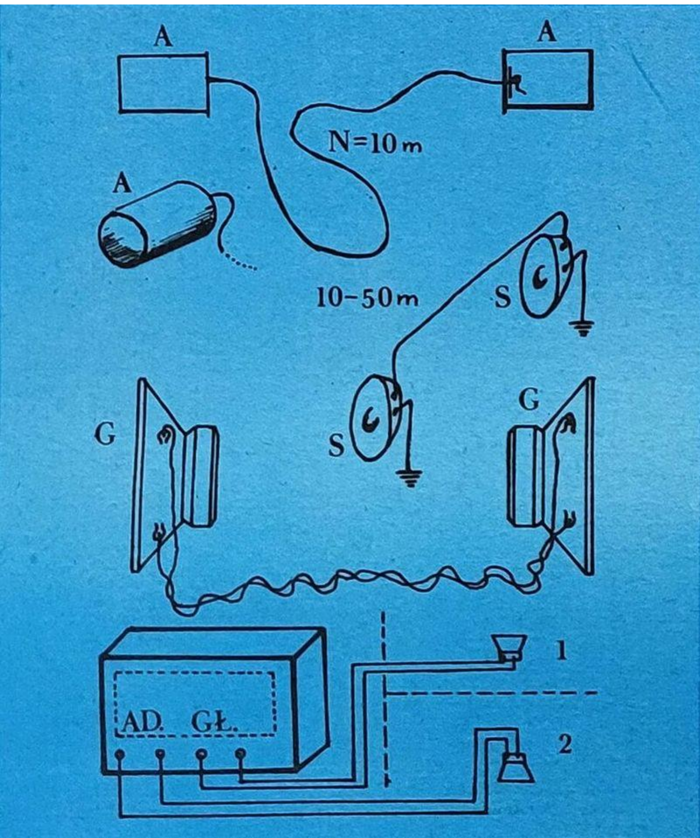
Jeśli mamy radioodbiornik, w którym są gniazdka dla adapteru i dodatkowego głośnika, możemy zbudować domową sieć telefoniczną. Schemat połączeń pokazałem na rysunku. Jest to telefon jednostronny! Jeśli przy włączonym odbiorniku będziemy mówić przez głośniki-mikrofony (1 i 2 na rysunku), głos nasz będzie słyszalny w głośniku radioodbiornika, jakbyśmy mówili ze studia radiowego! Urządzenie jest wygodne, bo jeśli umieścimy jeden głośnik w kuchni, a drugi w pokoju, gdzie np. śpią małe dzieci, mama usłyszy płacz najmłodszego, pracując spokojnie w kuchni. Do wykonania połączeń między adapterem a głośnikiem (nr 2 na rysunku) potrzebny jest przewód tzw. ekranowy, który usprawni odbiór. Normalny natomiast przewód radiowy można stosować między gniazdem głośnika dodatkowego, a głośnikiem nr 1. Przy podłączeniu do gniazd radioodbiornika zachować trzeba ostrożność: nigdy nie zdejmować tylnej ścianki, gdy odbiornik jest włączony do sieci elektrycznej! Naszymi urządzeniami nie możemy robić konkurencji urzędom łączności! Nie wolno zatem prowadzić ljnii do dwóch różnych zabudowań.

Na zakończenie drugi dowcip telefoniczny:

Pewnej pani założono po latach oczekiwań upragniony telefon. W pierwszym dniu dzwoni ona do urzędu łączności:

*- Panowie, pomóżcie. U mnie mechanicy dali za długi przewód łączący aparat ze słuchawką. Czy nie możecie pociągnąć z waszej strony - chociaż o pół metra!*

**PAWEŁ ELSZTEIN**
**Rys. autora**







# JAK ZOSTAĆ KIEROWCĄ TIR-u?



***W tym roku kończę ZSZ i bardzo chciałbym pracować jako kierowca TIR-u. Uczą się dobrze i mam prawo jazdy. Co muszą zrobić, żeby moje marzenia się spełniły?***

***Andrzej***

Przyjmowanie kandydatów do pracy w międzynarodowym transporcie kołowym — w skrócie TIR (z francuskiego: transport international routier) nie odbywa się regularnie. Jest ono uzależnione od potrzeb (np. gdy Spółka Akcyjna Pekaes zakupuje nowe samochody i potrzebni są kierowcy). Ostatnia rekrutacja miała miejsce w 1981 roku. Od tego czasu około 200 przeszkolonych kierowców czeka na zatrudnienie i oni właśnie będę mieli pierwszeństwo podczas następnej tury zatrudniania.

Od kandydatów na kierowców TIR-u wymagane jest prawo jazdy I kategorii (tj. posiadanie kategorii B, C, D i E), minimum 5 lat pracy jako kierowca samochodów wysokotonażowych z silnikiem wysokoprężnym, uregulowany stosunek do służby wojskowej, wiek nie mniej niż 24 lata i nie więcej niż 40 lat, wykształcenie przynajmniej zawodowe o kierunku mechanicznosamochodowym (w najbliższej przyszłości wymagane będzie wykształcenie średnie i być może świadectwo maturalne), znajomość języka zachodniego (szczególnie angielskiego, niemieckiego lub francuskiego). W związku z takimi wymaganiami należy przedstawić następujące dokumenty: życiorys, podanie, zaświadczenie potwierdzające staż pracy (kandydaci zatrudnieni poprzednio w zawodach innych niż kierowca nie są przyjmowani), opinia z ostatniego miejsca pracy, odpisy lub kserokopie świadectwa ukończenia szkoły oraz prawa jazdy.

Po złożeniu niezbędnych dokumentów kandydaci na kierowców TIR-u zdają egzamin wstępny, który składa się z części praktycznej (prowadzenie pojazdu) i części teoretycznej (znajomość przepisów ruchu drogowego i sprawdzian z języka obcego). Kandydaci, którzy pomyślnie zdadzą egzamin, kierowani są następnie na 3-tygodniowy kurs doskonalący, obejmujący m. in. poznawanie budowy i obsługi pojazdów wykorzystywanych w obsłudze transportu międzynarodowego oraz praktyczną naukę jazdy na tych samochodach, zapoznanie się z przepisami celnymi, dewizowymi oraz tzw. dokumentacją przewozową (m. in. zasady obsługi transportu międzynarodowego, znajomość firm i sposobów zawierania umów handlowych).

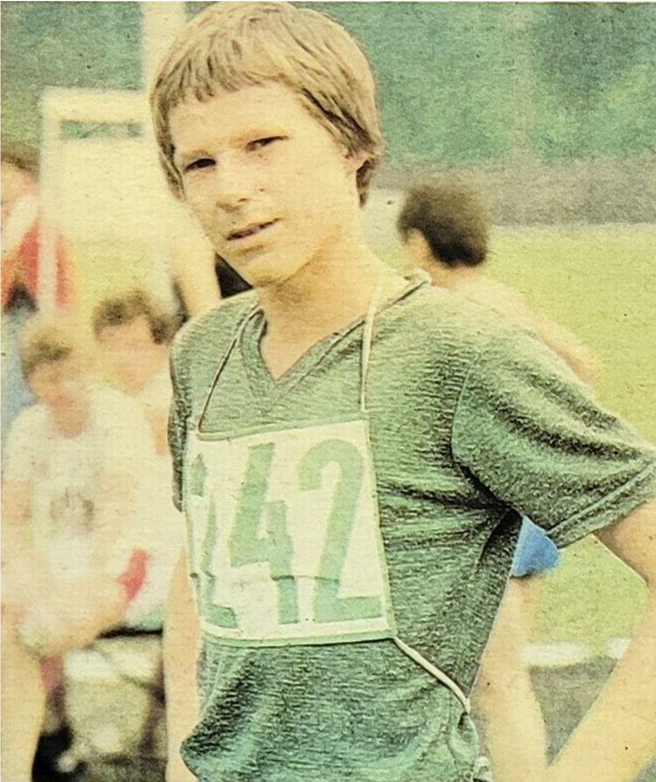
Po zaliczeniu kursu kandydaci przechodzą badania psychotechniczne i psychologiczne w Instytucie Transportu Samochodowego w Warszawie. Badania te muszą być uzupełnione aktualnymi badaniami lekarskimi kandydata. W sumie od czasu rozpoczęcia egzaminów do zakończenia szkolenia i badań upływa od 3 do 6 miesięcy.

Organizacją szkolenia przyszłych kierowców TIR-u oraz wyznaczaniem terminów kolejnych przyjęć zajmuje się Spółka Akcyjna Pekaes Auto-Transport, ul. Świętokrzyska 30, 00-950 Warszawa. Wszyscy zainteresowani uzyskają tu radę i informacje o tym atrakcyjnym zawodzie. **(es)**

# „GRUCHA”

**Krępy, jasnowłosy chłopak długo koncentruje się na rozbiegu. Wpatrzony w piaskownicę nerwowo drepcze w miejscu. Niespokojne myśli i trema trochę przeszkadzają. Są to jego pierwsze w życiu wielkie zawody. Tak bardzo chciałby uzyskać dobry wynik, nie zawieść trenera, kolegów. Wreszcie ruszył. Szybko mknie w kierunku białej belki, potężnie odbija się i podciąga nogi pod samą brodę. Po chwil chmura piasku wzbija się w powietrze poza linią oznaczającą 6 metrów. Biała chorągiewka w górze, a więc próba zostaje zaficzona. Tak daleko jeszcze nikt nie skoczył. Obejmuje w konkursie prowadzenie, którego już do końca nikomu nie odda.**

W czerwcowym finale czwórboju o puchar naszej redakcji, **Andrzej Gruszczyński** z Aleksandrowa Łódzkiego wprost zdeklasował swoich rywali. W znakomitym stylu zwyciężył w skoku w dal (6,25 m), w rzucie piłeczką palantową (77,20 m) oraz w sprincie na 60 metrów (7,9 sek.). Tylko w najmniej przez siebie łubianej konkurencji, w biegu na 800 m, po porywającym pojedynku musiał uznać wyższość Grzegorza Świta z Bilczy. Głównie dzięki niemu nie faworyzowana przez nikogo Szkoła Podstawowa Nr 3 z Aleksandrowa uplasowała się w czołówce - na szóstym miejscu. Na wiosnę będzie rywalizowała w kolejnym finale, którego zwycięzca pojedzie na zawody międzynarodowe. Szkolny opiekun Andrzeja, pan **Kazimierz Tkacz** był trochę zaskoczony wynikami podopiecznego. Drużyna nie miała przed finałem specjalnych treningów i przystąpiła do zawodów niemal z „marszu". Popularny wśród kolegów „Grucha" właśnie w Stalowej Woli uzyskał życiową formę i sprawił trenerowi miłą niespodziankę, zajmując pierwsze miejsce w klasyfikacji indywidualnej.




Skromny do tej pory chłopak stał się nagle „gwiazdą". Wszyscy w szkole zazdrościli mu pięknego medalu i tak udanego występu w bądź co bądź wielkiej, ogólnopolskiej imprezie. Andrzej niegdyś sumienny i zdyscyplinowany coraz częściej opuszczał treningi i spóźniał się na zajęcia. Konieczna była reprymenda trenera. Chłopak wziął sobie do serca słowa nauczyciela i ostro zabrał się do roboty. Wysiłek opłacił się. Jesienią szkoła zorganizowała masowe zawody o memoriał swego patrona, Józefa Jaworskiego. „Grucha" ponownie błysnął wielką klasą. Zwyciężył w sprincie, w skoku wzwyż i w dal. Później, na mistrzostwach województwa łódzkiego zdobył wraz z kolegami brązowy medal w przełajowej sztafecie 10x800 metrów.

Po dawnym „gwiazdorstwie" nie ma już śladu. Andrzej pragnie w sporcie wiele osiągnąć i zdaje sobie sprawę, że samym talentem, bez regularnego treningu do niczego nie dojdzie. Podobnie twierdzi jego ojciec, wielki miłośnik lekkiej atletyki. Zachęca syna do poważnego traktowania obowiązków, żywo interesuje się zarówno postępami na boisku, jak i w nauce.

„Grucha" jest nie kwestionowanym liderem zespołu. Prócz niego „trójkę" z Aleksandrowa reprezentują: Krzysiek Subiel, Michał Lipiński, Piotrek Wojciechowski, Darek Graczyk i Marek Łabuda. Koledzy chcieliby mu dorównać i sukcesy najlepszego są dla nich bodźcem do podnoszenia sportowych umiejętności. Drużyna jest dobrze przygotowana do skoków, za to gorzej spisuje się w biegach. Andrzej jednak radzi sobie doskonale, regularnie uzyskując w sprincie czasy w granicach 7,5 sekundy.

Intensywne treningi nie przeszkadzają mu w nauce, ale wolnych chwil ma niewiele. Lubi muzykę Lady Pank, Maanam i Deep Purple. Od czasu do czasu chodzi do kina, a ostatnio bardzo podobał mu się słynny film amerykański „Psy wojny". Oprócz ukochanego sportu i muzyki ma jeszcze jedną, bardzo bliską sercu pasję. Wprost uwielbia morze. Mógłby całymi godzinami przesiedzieć na plaży i obserwować spienione fale, przepływające w oddali kutry, stada mew hamujące na falochronach. Marzy mu się, że zostanie marynarzem, a w najbliższej przyszłości chce podjąć treningi w miejscowym „Starcie". Klub ten patronuje aleksandrowskiej szkole i wszyscy pilniejsi zawodnicy kontynuują tu sportową przygodę.

Andrzej ma dwa wielkie sportowe wzory. Chciałby być tak szybki jak rekordzista Europy Marian Woronin i tak skoczny jak nasz mistrz w trójskoku Zdzisław Hoffman. Na razie wyznaczył sobie bliższy cel. Przy silnej stawce rywali trudno będzie odnieść zespołowy sukces w następnym finale czwórboju, za to indywidualnie zamierza powtórzyć osiągnięcie ze Stalowej Woli i reprezentować nasz kraj na arenie m iędzyna rodowej.

**ANDRZEJ BACZYŃSKI**
Fot. **M. Zieleniewska**

---

# SEJMIK W SIEDLECKIEJ „KRÓLÓWCE"

Pewnego dnia otrzymałem blankiet zaproszenia, gdzie napisano: *1 Wojewódzki Sejmik Samorządów Szkolnych Szkół Ponadpodstawowych. Miejsce spotkania: budynek „Królówki", Prusa 12, Siedlce. Czas spotkania: 15 grudnia 1964 r. godz. 10.00.* A także porządek spotkania i informacja, że organizatorem sejmiku jest **Samorząd Szkolny z II LO im. Królowej Jadwigi w Siedlcach.**

Wszystko więc było jasne. Tyle tylko, że nie wiedziałem, co z tego wyjdzie. Także Anetka i Grześ (samorządowcy z „Królówki") nie ukrywali niepokoju. „Czy przyjadą?" (prawie 50 szkół z województwa, toż to zima, przedświąteczna sobota). „Czy będzie dyskusja?" (zaproszono nie tylko uczniów, ale i nauczycieli-opiekunów samorządów, a nadto – przedstawicieli wojewódzkich i miejskich władz oświatowych).

Obawy rozwiały się prędko. Przyjechali. Dyskutowali. Władze - choć z dostojnych urzędów - starały się nie być wcale takie dostojne i wyraźnie „stawały po stronie uczniów", jak mi powiedziała na przerwie pewna nieduża delegatka „z terenu", Teraz już wiem, że to MUSIAŁO się udać, bo zostało dobrze pomyślane.

Gospodarze, samorząd z siedleckiego II LO, zaprogramowali sobie przebieg sejmiku następująco:

- Anetka powita gości i powie coś na początek, co będzie zagajeniem,
- zaproszony tam, niżej podpisany gość, wyda z siebie głos wprowadzający do dyskusji,
- jeszcze Grzegorz krótko przedstawi, jak samorząd ma działać w świetle ministerialnego prawa,
- i wszyscy rozejdą się do trzech grup dyskusyjnych, gdzie nastąpi właściwa część sejmikowa.
- a po półtorej godzinie zejdą się znów w dużej sali i powiedzą, do jakich wniosków doszli, co - być może - wywoła jeszcze dyskusję, choć nie musi,
- tak skończy się część posiedzeniowa i po o biedzie wystąpią zespoły artystyczne uczniów ze szkół siedleckich i studentów Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej.

Jak pomyśleli, tak i zrobili. Wszystko szło jak z płatka i w żadnym punkcie się nie zacięło. Anetka prowadziła pierwszą część jak zawodowy konferansjer. Autor tego artykułu wygłosił zamiast naukowego referatu - dziesięć pytań, na które nie odważył się sam dać odpowiedzi (była to oczywista manipulacja sejmikowiczami, którzy zarzuceni pytaniami z gatunku trudnych i beznadziejnych, zostali przez to podbechtani do szukania odpowiedzi w grupach).

Szukali więc rozstrzygnięć na różne liczne pytania i problemy, które w trakcie rozmów pączkowały niczym drożdże. Grupy pracowały bardzo „parlamentarnie", co nie znaczy, że brakowało wystąpień spontanicznych, kontrowersji, a nawet sporów. Potem - czytanie... przepraszam! - wygłaszanie wniosków trwało prawie godzinę, nie sposób więc je tu cytować czy streszczać. Napiszę tytko, o czym szczególnym dyskutowano w grupach.

Pierwsza rozważała drażliwy problem relacji między samorządem szkolnym a redą pedagogiczną i szkolnymi organizacjami młodzieżowymi.

Druga szukała sposobów rozwąania aktywności samorządu (wewnątrz szkoły i poza nią).

W trzeciej grupie wzięto pod lupę „Kodeks Ucznia" i konfrontowano treść togo dokumentu ze szkolnym życiem.

Czy kłócono się? Tak, niekiedy - ale bez zniewag.

Czy powtarzano niektóre znane powszechnie sądy i opinie? Owszem, zdarzało się.

Czy przy tym wymyślono coś nowego? Na pewno. Na przykład, że więcej w szkole zależy od uczniów, niż mogłoby nam się wydawać. Oraz że samorząd uczniowski powinien być samorządny! Bo najczęściej nie jest.

I jeszcze cała lista szczegółowszych pomysłów, projektów, doświadczeń, prób, postulatów. Wszystko to zostało pisane na gorąco. Teraz będzie przez specjalną komisję „podstylizowane", ułożone według jakiegoś porządku tematycznego, powielone i rozesłane do wszystkich samorządów szkolnych w województwie siedleckim. No i to prawie wszystko. Jeszcze parę zdań niesprawozdawczych, od siebie.

Bywają sejmiki, których wartość polega głównie na stworzeniu doraźnego forum dla wygadania się, dania upustu emocjom, żalom, entuzjazmom, wątpliwościom.

Wartością siedleckiego sejmiku jest - według mojej skromnej oceny i nadziei - jego DALSZY CIĄG, który nastąpi w szkołach, skąd przyjechali delegaci.

Mogę więc popełnić pewien nietakt towarzyski: liczę na to, że za rok otrzymam zaproszenie na 2 sejmik. Jeśli nie otrzymam, nie obrażę się, a już wiem, że będzie on nie gorszy niż ten z grudnia 84.

Post scriptum I: urzekła mnie polszczyzna siedleckich uczniów, co świadczy o ich kulturze humanistycznej i o tym, że mają dobrych polonistów. Przez cały dzień nie słyszałem ani jednego sloganu, ani jednego wyrażenia w stylu TV-wywiadów: „...w tym temacie otwieramy front doskonalenia pionu organizacyjnego". Oni naprawdę potrafią mówić językiem Sienkiewicza i Miłosza!

Post scriptum II: w dyskusji plenarnej jedna z dziewcząt wystąpiła z czymś niesłychanym jak na środowisko uczniowskie: apelem, by samorządy zajęły się akcją antynikotynową, antyalkoholową i antynarkotyczną w szkołach! Warto przytoczyć jej argumentację: kto chce być samorządny, musi być człowiekiem wolnym; nie jest zaś wolny ten, kto uzależni się od nałogów. No, no... Powiem skromnie, jak pan Zagłoba: sam bym lepiej nie wymyślił!

**JULIAN RADZIEWICZ**

---



▲ *Prosto z nieba pod sam Urząd Stanu Cywilnego*

Najpierw słychać było głuchy warkot krążącego śmigłowca. A kiedyśmy wreszcie unieśli głowy, przerażenie nasze - czekających na tramwaj przy placu Komuny Paryskiej - nie miało granic. Oto nad nami, zupełnie nisko, płynęło kilkanaście spadochronów. Prosto na domy i na rozpędzone samochodyl Za moment (jeden ze skoczków - Wiesio Leszczyński - wylądował tuż przy nas), okazało się, że to właśnie państwo młodzi w asyście drużbów i przyjaciół zdążają do Urzędu Stanu Cywilnego na Żoliborzu! Jak Warszawa Warszawą takiego orszaku ślubnego jeszcześmy nie oglądali. Oczywiście natychmiast zmieniam azymut, to znaczy rezygnuję z wizyty, którą miałam złożyć i co sił w nogach pędzę za Wiesiem podtrzymując mu spadochron - na tę niebywałą uroczystość.

Młodzi wylądowali tuż przed budynkiem USC. Tam koledzy z aeroklubu, którzy nie skakali, przejęli spadochrony i ruszyliśmy do Sali Ślubów. Oczywiście na przedzie narzeczeni: Ona - Dorota Kuźma, która właśnie wykonała siedemset piętnasty skok spadochronowy - wystąpiła w zielonym kombinezonie, który ożywiał lila róż golf. On - Arek Wantoła mający na koncie tysiąc czterysta jeden skoków, spadochronowych — zaprezentował się w szałowym kombinezonie koloru ciemnej czerwieni. Orszak powietrzny również maszerował w kombinezonach, jakby na tę niezwykłą okazję specjalnie uszytych. Rodzina i pozostali goście przybyli w strojach wizytowych. Po uroczystości, już przed budynkiem, sypaliśmy Młodym złotówki na rozłożony spadochron, aby im się wżyciu darzyło. Niech Im się darzy, niech Im nigdy nie zabraknie szczęścia i... fantazji.

(wm)

*Ślub nie ślub, a spadochron po skoku trzeba odnieść we właściwe miejsce* ▼

*Młodzi już w sali ślubów. Mina pana młodego świadczy o dobrym samopoczuciu i trudno się dziwić. Skoki były udane, a i wybranka serca nie należy do dziewczyn przeciętnych* ▼



Fot. TOMASZ MALANOWSKI

# Ach! Cóż to był za ślub!

**Naczelnik Insurekcji,
Tadeusz Kościuszko,
sławiąc kiedyś
niezwykle wrażliwe na ludzkie
niedole serce
i szczodrą dłoń
współczesnej mu damy,
Konstancji Zamoyskiej,
powiedział, że takim kobietom
powinno się stawiać pomniki...
Kobiety — to na nie
od zawsze spada trud domu,
rodziny,
uczenia i wychowywania dzieci,
a przede wszystkim
— ich rodzenia.
Straszne były dla nich
lata okupacji niemieckiej.
Co przeżywały matki,
gdy na ich oczach
umierały dzieci...
Ich bohaterstwo i cierpienie
upamiętniono:
stawiamy im wszyscy
wspaniały pomnik.**

*„Pragniemy dla tej mądrej idei zjednać nasze społeczeństwo, a także naszych rodaków za granicą. Wierzymy, że działalność ta spotka się z poparciem zarówno materialnym, jak i moralnym tych Polaków, którzy mają gorące serca".* (Fragment odezwy Rady Obywatelskiej Budowy Pomnika Matki-Polki do społeczeństwa i Polonii, maj 1983).

# SZPITAL CENTRUM ZDROWIA MATKI POLKI



Powstaje w Łodzi, mieście szczególnie licznie i ciężko pracujących kobiet Potrzeba im, może bardziej niż gdzie indziej, lepszej ochrony zdrowia.

Podczas spotkania z przedstawicielkami kobiet polskich w dniu 23 czerwca 1982 r. na wniosek gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego postanowiono uczcić rolę kobiet polskich w historii naszego narodu. Wówczas narodziła się myśl, by zbudować ogromny i wszechstronny szpital, w którym pełną opiekę znajdzie matka i dziecko, od embrionu aż do osiemnastolatka.

Centrum Zdrowia Matki-Polki budowane jest z funduszów ofiarowywanych przez społeczeństwo, uzupełnianych pomocą finansową państwa. Całkowity koszt - ok. 10 miliardów złotych. Termin wykonania — 4 lata. Nad przebiegiem budowy, zbiórką i wydatkowaniem pieniędzy kontrolę sprawuje 126-osobowa Rada Obywatelska.

## CZASU BRAK!

Teren budowy jest ogromny: blisko 450 tys. metrów kwadratowych. Widać zarysy obu szpitali: położniczo-ginekologicznego i pediatrycznego. Powstaną tu również hotele dla personelu i rodziców chorych dzieci, internat i 300 mieszkań dla obsługi i pracowników, przedszkole, apteka, biblioteka naukowa, pracownie. Choć po budowie jeżdżą dźwigi, a budynki szpitalne dopiero „kiełkują" z ziemi, kompletuje się przyszłą ekipę lekarską. Tegorocznym absolwentom łódzkiej AM i WAM wręczono jut kilkanaście angaży. Mają przez 3 lata zdobyć specjalizacje i przystąpić do pracy w warunkach, których niejeden lekarz im pozazdrości.

Szpital pediatryczny, choć wyposażony będzie w najnowocześniejszy sprzęt modyczny, ma być jednocześnie bardzo domowy. Nad wnętrzami pracujo zospół plastyków z Warszawy, nad przyszłą atmosferą - inni. Np. łódzki aktor I pisarz, Karol Obidniak, myśli już o stworzeniu w dziale rehabilitacji specyficznego... teatru. Odrywałby on skutecznie myśli młodych pacjentów od bólu i strachu, towarzyszących każdemu, kto znalazł się w szpitalu, odprężał ich psychicznie, przyspieszając powrót do zdrowia,



*Dyrektor Henryk Andrzejewski wie o wszystkim, co dzieje się i dziać będzie na budowie. O Centrum — planach i teraźniejszości - może opowiadać godzinami. Zapału do pracy nie traci, wręcz przeciwnie - twierdzi. To on oprowadzał nas po terenie budowy i udzielił wszelkich informacji*

## CZYN CZYNOWI NIERÓWNY

Dzisiejszy plac budowy Centrum Zdrowia Matki wygląda jak prawie każda gigantyczna budowa... No, niezupełnie. Przede wszystkim panuje tam wzorowy porządek i... czystość. Błotko, jest, owszem, ale wszędzio przygotowane przejścia, dojazdy. Tempo prac nie może się opóźniać. Trudno się dziwić, że generalny wykonawca wiadomość o tzw. akcji letniej, czyli pracy społecznej grup młodzieżowych na rzecz Centrum, przyjął z dużą obawą. Fachowcy oczyma duszy widzieli już bałagan, zamieszanie, uganianie się za narzuconymi podopiecznymi. Akcja letnia trwała dwa i pół miesiąca: od 1 VII do 15 IX 1984 r. Młodzież do dziś chwalą wszyscy.

Przyjeżdżały grupy na wymianę ze wszystkich krajów socjalistycznych: NRD, Bułgarii, Węgier, Kuby. No i oczywiście Polacy - młodzież szkolna, studencka. Zasada była taka, że jednocześnie na budowie pracowało tylko 150 osób. Wstawali o 5 rano, śniadanie i do roboty. 7 godzin dziennie, bo w większości młodociani. Wyjątkowo pracowici i chętni okazali się Bułgarzy-wspomina z-ca komendanta międzynarodowego hufca pracy do Spraw produkcyjnych, **pan Marek Kieszkowski**. W lipcu pracowała też grupa z Zielonej Góry. Akurat wtedy nadchodziły transporty łóżek szpitalnych ze Szwecji. Najnowszy model, z automatyczną regulacją umożliwiającą zmianę położenia pacjenta. Dar Szwedzkiej Powszechnej Chrześcijańskiej Dystrybucji Międzynarodowej i fabryki Volvo — 550 sztuk. Przywiozły je prosto z promu kontenerowce. Zabrali się do tego najpierw urzędnicy. Pięciu dorosłych mężczyzn nie mogło nawet dostać się do nich, co dopiero - wyładować. W nocy przyjechało 22 OHP-owców - smarkacze! W godzinę wszystko rozładowali! Ta grupa wyspecjalizowała się w rozładunku łóżek. Czekali tylko na sygnał, kiedy będzie następny transport. Przeważnie ten sygnał był w nocy...

W czasie Alertu Naczelnika ZHP zgłosili się do pracy harcerze. Pracowała tylko 100-osobowa grupa z hufca Łódź-Górna, dzielnicy, w której buduje się pomnik. W czasie trzech dni alertowych wypracowali 7-9 milionów złotych.

## DARY SERCA

*„Mam 13 lat. Chcę przesłać 5 dolarów na Szpital. Mam w Polsce rodzinę, rodzice moi są też Polakami. - Beata Piekutowski*". Takich listów - z kraju i zagranicy - przychodzą tysiące. Przekazy pieniężne są rozmaite: najniższy dotąd - 7 zł — od dziecka -10 zł, 120,460... Ktoś przekazał 1 cent. Wszystkim ofiarodawcom przesyła się podziękowanie.

**Do mgra Henryka Andrzejewskiego — dyrektora Sekretariatu Rady Obywatelskiej Budowy Pomnika - Szpitala Centrum Zdrowia Matki - Polki**, przychodzą też ludzie; chcą na Pomnik przekazać przeróżne przedmioty, nieraz bardzo im drogie i dużej wartości. Największy dotąd prywatny dar pochodzi od mieszkanki Łodzi; przekazała anonimowo 3 dag rodzinnego złota (jest to wartość 1.260 000 zł).

21 października 1987 roku o godzinie 14:00 Centrum, najwspanialszy pomnik wystawiony polskim kobietom,zostanie oddane do użytku.




**KRYSTYNA KLIMOWICZ**
**Zdjęcia: Jacek Łopuszyński**




# MERCEDES – BENZ 3336 (8×4)




Wytwórcy samochodów ciężarowych przygotowują konstrukcje produkowanych przez siebie pojazdów w taki sposób, by można było z elementów typowych tworzyć wiele odmian samochodu w zależności od tego do jakich celów ma służyć, w jakich warunkach ma pracować i jakie dodatkowe funkcje ma spełniać.

W związku z tym samochody ciężarowe niekiedy wykonywane są w bardzo krótkich seriach, a nieraz nawet i w pojedynczych egzemplarzach. W przeciwieństwie do wielkoseryjnej produkcji samochodów osobowych, gdzie producenci zainteresowani są wytwarzaniem jak najmniejszej liczby odmian, w produkcji samochodów ciężarowych wytwórcy oferują dużą liczbę specjalistycznych wersji, gdyż to im się opłaca. A opłaca się dlatego, że samochody specjalistyczne są o wiele droższe od typowych.

Do takich specjalistycznych pojazdów należy prezentowany samochód firmy Mercedes-Benz oznaczony jako typ 3336 (8x4). Ciężarowy MERCEDES-BENZ 3336 (8x4) jest pojazdem skrzyniowym (na zdjęciu przedstawiony został ten samochód bez skrzyni, gdyż jej kształt np. wysokość burt zależy od wymagań nabywcy), lecz ze specjalistycznym podwoziem 4-osiowym - dwie osie z przodu i dwie osie z tyłu. Cztery koła umieszczone na osiach przednich sę kierowane. Obydwie osie tylne samochodu sę napędzane.

Ten rodzaj podwozia oznacza się cyfrowo 8x4, co oznacza 8 kół, z których 4 sę napędzane (koła bliźniacze przy tylnych osiach napędowych liczy się w tym przypadku jako koła pojedyncze).

Tego typu pojazd przeznaczony jest do poruszania się po trudnych terenowo szlakach komunikacyjnych oraz obszarach stwarzających trudności w manewrowaniu samochodem.

MERCEDES-BENZ 3336 wyposażony jest w 10-cylindrowy silnik wysokoprężny, o układzie cylindrów w kształcie litery „V". Jego pojemność wynosi 18 273 cm sześc., a moc 261 kW (355 KM), jest ona osiągana przy 2300 obr./min: Silnik ten jest umieszczony w kabinie kierowcy nad pierwszą przednią osią. Napęd od niego przekazywany jest na obydwie tylne osie napędowe za pośrednictwem 16-przekładniowej, synchronizowanej skrzyni biegów. Dostęp do silnika umożliwia przechylana kabina kierowcy.

Wszystkie osie tego samochodu zawieszone sę do ramy za pośrednictwem stalowych resorów piórowych. Przy kołach sę hamulce bębnowe uruchamiane systemem pneumatycznym.

Samochód może być wyposażony w trzy rodzaje kabin kierowcy: dwuosobową (wersja S),dwuosobową z mniejszą przestrzenią za siedzeniami, którą można przystosować do spania w czasie postoju (wersja M), dwuosobową z większą przestrzenią za siedzeniami, przystosowaną do spania dla dwóch osób, w której można spać również w czasie jazdy samochodem (wersja L).

Długość pojazdu (bez skrzyni ładunkowej) w zależności od zastosowanej kabiny może wynosić od 9,03 m do 10,355 m. Dopuszczalny całkowity ciężar samochodu wraz z ładunkiem wynosi 33 tony - ciężar przewożonego ładunku w zależności od wersji wynosi od 22,96 tony do 22,63 tony.

Prędkość maksymalna obciążonego samochodu wynosi 78 km/godz.

Spoglądając na zdjęcie samochodu starajcie się odpowiedzieć do czego służy przewód umieszczony po prawej stronie i dlaczego został on wyprowadzony aż na dach kabiny kierowcy? Pierwsza przesłana na mój adres (Zenon Dutkiewicz, ul. Guliwera 2, 60-193 Poznań) prawidłowa odpowiedź nagrodzona zostanie odznaką „MOTOEKSPERTA ŚM".

Pragnę ponownie podziękować Dawidowi Żyrnle, który nadesłał mi bogaty zestaw materiałów, między innymi o samochodach firmy Mercedes.

**ZENON DUTKIEWICZ**

## ● PIERWSZY ZWIAD W PTASICH STOŁÓWKACH
## ● CO ZNACZY ♂ i ♀

Chodzi nam tym razem o stołówki naturalne oraz takie, które ptaki same sobie znajdują, nie zaś o karmniki. Zwiad w tych stołówkach jest tematem jednego z na-. szych zadań. Mamy już pierwsze odpowiedzi. Jak na razie nie niosą one jeszcze rewelacyjnych spostrzeżeń, ale przecież w badaniach przyrodniczych nieraz tak bywa, że dopiero wiele pozornie banalnych obserwacji razem wziętych pozwala odkryć jakąś naprawdę ciekawą zależność. A zatem - zaczynajmy...

Okazuje się - nie po raz pierwszy - że ptasimi stołówkami bywają w zimie drzewa owocowe i ich najbliższe otoczenie. Sylwester Stawę z miejscowości Stowęcino w woj. słupskim zauważa, że kosy, zięby i - co ciekawe - orzechówki całymi dniami żerują na „zbukwiałych" jabłkach. Andrzej Chmielewski z Międzyrzecza widuje na jabłkach sikory i sójki. Dodajmy, że korzystanie z owoców przez te ostatnie dwa gatunki jest bardzo typowe.

Andrzej pisze też o sierpówkach, które parami zbliżają się do kurników, a pojedyncze nawet wchodzą do środka, by posilić się pokarmem przeznaczonym dla drobiu.

Miejscem żerowania ptaków o tej porze roku są też śmietniki. Wspomina o tym **Dariusz Stafyniak z Międzyrzecza**. Że w śmietniku bywają dzierlatki - nic dziwnego, wszakże nazywa się je inaczej śmieciuszkami czy pośmieciuchami. Ale - zdaniem obserwatora - razem z nimi w śmietniku bobrują też zięby i szczygły. Ptaki te tworzą razem najwyraźniej jedno stado, pojawiające się codziennie: 16 szczygłów, 9 zięb i 6 dzierlatek. Mamy tu więc przyczynek do innego naszego zadania: jakie gatunki tworzą zimą wspólne stada.

Gdy zaś o szczygły idzie - to mamy dość ciekawą ich obserwację, jaką **nadesłał Edward Klusek**,-też z **Międzyrzecza** (istniał tu klub, ale niestety, rozpadł się!). Zdaniem Edwarda, żerujące na chwastach szczygły... wystawiają strażnika! Strażnik ten



***Pamiętajcie zimą o kosach!***

*„nie żeruje, ale siedzi na najwyższej odnodze łopianu i bacznie lustruje otoczenie. Kiedy podchodziłem do łopianu, ptak ten wydał głośny świergot i wszystkie odleciały..."*

Niektórzy obserwatorzy piszą, że teraz ptaki drapieżne jakby zmieniły obyczaje, chętnie siadują blisko szlaków komunikacyjnych, nie bojąc się pojazdów i ludzi. Zauważa to np. Andrzej Chmielewski. Pisze też - ze zdumieniem — że widział, jak myszołów i wrona siedziały obok siebie w największej zgodzie, choć przecież zwykle wrony atakują i pędzą myszołowa, a nawet - jak kanie - próbują odebrać mu łup. Otóż pamiętajmy, że wrona to ptak stosunkowo inteligentny, umiejący się zachować stosownie do zaistniałej sytuacji. Być może wyczuła, że tym razem, zamiast wszczynać potyczkę, lepiej cierpliwie poczekać, aż myszołów zostawi coś ze zdobyczy lub upoluje nowy łup.

**Jarosław Durkin z Pyrzyc** pyta, co oznaczają znaki ♂ i ♀ przy barwnych tablicach w atlasie. Otóż symbolizują one płeć. Kółko ze strzałką oznacza samca a kółko z krzyżykiem - samicę.

Wykorzystajcie obserwacyjnie zbliżające się ferie i - piszcie!

**TOMASZ KŁOSOWSKI**
Fot. **autora**

## *Zielono mi (67)*

*Co dolega roślinom?*

## GRZYBY NIE NADAJĄCE SIĘ DO MARYNOWANIA

Po deszczu rosną nie tylko grzyby kapeluszowe, tak mile widziane w naszych lasach, lecz także grzyby chorobotwórcze, które powodują olbrzymie straty w plonach na polach i w ogrodach. W naszym wilgotnym klimacie choroby grzybowe roślin są powszechne. Niszczą one korzenie i łodygi roślin, kwiaty, zawiązki owocowe i owoce dojrzałe po zbiorach. Praktycznie w każdej uprawie można spotkać rośliny porażone przez grzyby chorobotwórcze.

Grzyby są organizmami bez ciałek zieleni, a więc niezdolne do fotosyntezy, które muszą korzystać z materii organicznej wytworzonej przez inne rośliny. Większość grzybów ma ciało wielokomórkowe złożone z nitkowatych utworów zwane grzybnią lub plechą. Strzępki grzybni mogą rozrastać się i rozgałęziać bardzo obficie, tworząc rodzaj zbitej niby tkanki, która może tworzyć okazałe utwory w postaci owocników grzyba. Grzyby rozmnażają się wegetatywnie przez strzępki grzybni lub zarodniki konidialne, albo generatywnie ze specjalnych kombrek rozrodczych:

Grzyby czerpią pokarmy z podłoża bezpośrednio przez grzybnię lub za pomocą wytworów grzybni takich jak ssawki. Grzyby wydzielają do podłoża enzymy rozkładające tkankę roślinną na związki proste cukry, związki amonowe, azotany i sole mineralne. Warto wspomnieć, że nie wszystkie grzyby są szkodliwe dla roślin nawet jeśli rozwijają się na żywych roślinach. Niektóre z nich współżyją z. roślinami dla obopólnych korzyści.

Jedną z powszechnych chorób grzybowych występujących w naszych ogrodach jest parch jabłoni powodowany przez grzyb Venturia inaequalis. Choroba jest łatwo widoczna na liściach i owocach. Na liściach pojawiają się już w maju okrągłe plamki barwy początkowo oliwkowej, później ciemnobrunatnej. Przy dużym porażeniu plamki mogą się zlewać w większe plamy o nieregularnych kształtach. Mocno porażone liście żółkną i opadają. Podobne plamy powstają na owocach, które wskutek porażenia przybierają kształt nieregularny, nie wy-' rastają i pękają. Grzyb poraża także kwiaty i pędy, lecz na tych organach roślin jest on mniej widoczny.

Parch jabłoni rozwija się masowo, jeśli w maju i w czerwcu występują częste deszcze, a zwłaszcza przewlekłe słoty. Porażone kwiaty i młode zawiązki jabłek opadają, toteż plon jest znikomy. Jeśli parch rozwinie się później owoce pozostają na drzewie, lecz są brzydkie, zdeformowane, niesmaczne i nie nadające się do przechowywania. Na plantacjach nieopryskiwanych parch jabłoni niszczy corocznie prawie połowę plonu, ą w niektóre lata ponad 3/4 plonu! W sadach pielęgnowanych wykonuje się od 8 do 15 opryskiwań przeciw parchowi jabłoniowemu w celu uzyskania zdrowych owoców.

Grzyb Venturia inaequalis należy do klasy workowców. Na porażonych opadłych liściach jabłoni tworzą się jesienią i zimą otocznie, w których wiosną powstają worki z zarodnikami. Kiedy na jabłoni zaczynają pękać pąki i ukazywać się listki, worki w otocz-niach również pękają, wyrzucając zarodniki, które niesione z wiatrem dostają się na zielone listki, pąki kwiatowe i kwiaty. Zarodniki kiełkują na roślinie w kropli wody, jeśli okres zwilżenia liści jest dostatecznie długi. Okres ten zależy od temperatury i nazywamy go okresem krytycznym. W temperaturze od 17 do 24°C okres krytyczny wynosi 9 godzin, w temperaturze 10°C - ponad 15 godzin, a w temperaturze nieco powyżej zera ponad 48 godzin. Zależność między długością okresu zwilżenia, temperaturą i nasileniem infekcji jest ujęta w tak zwanej tabeli Millsa, którą posługują się sadownicy. Znając temperaturę'powietrza i czas zwilżenia liści można określić czy wystąpił okres krytyczny, czy doszło do infekcji i czy konieczne jest opryskiwanie drzew. Istnieje u nas wiele organizacji które rejestrują i podają sadownikom informacje o okresach krytycznych dla jabłoni, a niektórzy sadownicy robią to również sami. Stosując odpowiednio częste opryskiwania w terminach ustalonych ściśle co do godziny nie dopuszcza się w sadach handlowych do wystąpienia parcha jabłoniowego.

Znacznie trudniejsza sprawa jest w uprawach amatorskich, gdzie możliwości częstego opryskiwania jabłoni są ograniczone z powodu braku odpowiedniego sprzętu, trudności organizacyjnych i obecności obok jabłoni innych roślin, które niekiedy uniemożliwiają opryskiwanie.

W ogródkach trzeba zapobiegać parchowi jabłoniowemu przez uprawę odmian jabłoni odpornych na parch. Są to odmiany następujące: **Prima, Priscllla, Priam, Liberty, James Grieve, Wealthy, George Cave, Price Albert, Delikates, Spartan, Jonatan, Golden Delicłous, Ida red** i inne. Odmiany o małej lub średniej wrażliwości można uchronić od parcha wykonując tylko 3-4 opryskiwania w okresie opadów przed i po kwitnieniu drzew. Preparaty stosowane przeciw parchowi jabłoniowemu są na szczęście mało toksyczne. Przed kwitnieniem stosuje się zwykle **Miedzian** i **Syllit**, po kwitnieniu **Syllit, Sadoplon, Rubigan** lub **Kaptan**, środki te stosuje się w stężeniu od 10 do 30 g preparatu na 10 l wody, według wskazówek na opakowaniu.

**AUGUSTYN MIKA**
Fot. **archiwum**



▲ ***Liście i owoce jabłoni porażone przez parcha***

## ZIELONA POCZTA

**Marek Paramonow z Kluczborka ul. Konopnickiej 10d/5** i kilku innych Czytelników zapytuje o szersze publikacje na temat uprawy roślin cytrusowych. Polecam książkę S.A. Pieniążka pt. „Na oknie kwitną cytryny". Jeśli nie znajdziecie jej w księgarniach może będzie w bibliotece szkolnej lub miejskiej. Marek pragnie wymienić nasiona winorośli, roślin dyniowatych, asparagusa za nasiona innych roślin egzotycznych. **Wojtek Wiorowski, Al. Ludowego Wojska Polskiego 31/21, 85-817 Bydgoszcz** poszukuje odcinków od 1 do 5 „Zielono mi", w zamian odstąpi odcinki od numeru 53 do 60. **Tomek Kilian z Włocławka** zapytuje o adres punktu sprzedaży cytryn karłowych. Cytryny karłowe są obecnie dostępne w kwiaciarniach w wielu miastach. W ciągłej sprzedaży są w Instytucie Sadownictwa i Kwiaciarstwa w Skierniewicach przy ul. Waryńskiego 14. **Paweł Rudzki z Radzymina** zapytuje jak pielęgnować kwiat

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

# ZIELONA POCZTA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

o nazwie *Hipeastrum.* Jest to roślina cebulowa o dużych efektownych kwiatach, która zimą, w temperaturze około 18°C umiarkowanym podlewaniu przechodzi okres spoczynku. Zakwita ponownie na wiosnę w temperaturze powyżej 20°C. **Andrzej Piechocki, Osiedle Rzeczypospolitej 62/8, 61-394 Poznań,** odstąpi nasiona figi za nasiona orzeszków ziemnych i rodzynków brazylijskich. **Leszek Tyc, ul. Jagiellońska 75, 34-360 Milówka,** odstąpi nasiona orzeszków ziemnych lub sadzonkę ananasa. **Krzysztof Kaczorowski, Osiedle Słoneczne 44/109, 27-400 Ostrowiec Świętokrzyski,** wyśle nasiona cytryny, arbuza, asparagusa, rodzynka i palmy daktylowej w zamian za nasiona kasztana jadalnego, orzeszków ziemnych, figi, herbaty lub kawy.

(am)

# UŚMIECH NUMERU

— PANIE MĄDRALA -— pyta sąsiad — dlaczego pan nigdy nie jeździ windą?

— Bo widzi pan, tam jest napisane „przewozi pięć osób", a ja nigdy nie mam czasu czekać na te pozostałe cztery...

•

— PANIE KELNER - pyta gość w restauracji - jak długo pan tu już pracuje?

— Przeszło tydzień, proszę pana...

— Przepraszam, więc to nie pan! A czy mógłby pan zawołać tego kolegę, u którego zamówiłem dwa tygodnie temu kotlet z marchewką na drugie danie?


ŚWIAT MŁODYCH

MAGAZYN GAZETA KLUB ZAINTERESOWAŃ

Nr 5 (3935)

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.

Wychodzi: wtorki, czwartki, soboty

Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul.Mokotowska 24 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13.40-003 Katowice (tel.:53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław..Borowiecki (redaktor naczelny, Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnlk (z-ca red. nacz.), Marią Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY.: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48

Dział Łączności z Czytelnikami 21 -81 -13 (czynny w godz. 11-15).

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa ,6A. Telefony Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Marlena Hanke

Opracowąnie techniczne: Barbara Zając

Korekta: Barbara Wasilewska.

DSP Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 4882/G. N-38

Nakład 500 000

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561


Autorką mego portretu rysowanego długopisem jest **Maryla Wawrzuta,** którą zapisuję do Rzepklubu.

### Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

**No i mamy rok osiemdziesiąty piąty 18+5 = (niestety) 13. Wniosek prosty: Ten rok będzie pechowy dla tych, którym trzynastka nie sprzyja, a szczęśliwy dla tych, którym przynosi szczęście!...**

*

Przed świętami widziałem tablicę ustawioną w centrum stolicy: „HANDLOWY KIERMASZ ŚWIERKOWYCH CHOINEK"...

*

Pewnego razu pomieszały się w radiostacji dwie rozgłośnie — Poznań i Warszawa. Słuchacze odebrali taki oto program:

*Poznań:... nadajemy gimnastykę poranną...*
*Warszawa:... oto audycja „Jak gotować"...*
*P.... na wstępie robimy kilka przysiadów i podskoków. Skaczemy...*
*W.... do garnka z lekko osoloną wodą...*
*P.... stajemy w rozkroku, oddychamy głęboko. Otwieramy szeroko usta...*
*W. ... wsypujemy cztery łyżki mąki i wlewamy pół szklanki mleka...*
*P.... unosimy nieco lewą nogę...*
*W.... podlewamy trochę śmietany i zapachu waniliowego...*
*P.... a teraz siad płaski...*
*W.... na dobrze rpzgrzaną patelnię. Życzymy smacznego!*

Anegdotkę nadesłała Anka Jeżowska, którą zapisuję do Rzepklubu.

*

OGÓLNOPOLSKA AKCJA WERYFIKACJI CZŁONKÓW RZEPKLUBU

36. **Joanna Koszyk**, lat 18 (*okropnie się zestarzałam!);* 58-534 Ścięgny 117 (woj. jeleniogórskie).
37. **Anna Stolarczuk**, lat 19; ul. Armii Czerwonej 9/6a 70-465 Szczecin. (*Teraz u mnie nic nie słychać, bo mnie nie ma w domu - studiuję w Gdańsku).*
38. **Agnieszka Żomaciuk**, lat 12; ul. Manifestu Lipcowego 11,19-225 Trzcianne.
39. **Dorota Konopka**, lat 15; 36-220 Jasienica Rosielna 384.
40. **Jerzy Hajduk**, lat 13; ul. Orłowicza 29/12,10-686 Olsztyn.
41. **Barbara Bielecka**, lat 14; ul. Marii Konopnickiej 8/5, 41-902 Bytom, *(...słychać u mnie szczekanie Dazeńki).*
42. **Arek**, lat 14 i **Wojtek**, lat 11 - **Jabłońscy**; Katowice... bez adresu!

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

UWAGA ZŁY WRÓBEL

W. LEWIŃSKI

W. LEWIŃSKI

pieszo popędzony do Tulonu. Pieszo, wie pani, co to znaczy? Otóż jeden z naszych rodaków towarzyszył skazańcowi w jego krzyżowej drodze. Też pieszo, żeby biedny chłopiec nie czuł się opuszczony. Żandarmi nie pozwalali mu zbliżyć się do więźnia, ale on starał się zawsze być w zasięgu jego wzroku. Ten sam człowiek był i w Nowej Kaledonii i nie wiadomo, czy jeszcze żyje. - Pan Hutorowicz trząsł głową, a wyraz twarzy miał równie beznadziejny, jak wówczas, gdy leżał chory na czwartym piętrze nędznego domu przy ulicy Clovisa.

Antoś i jego koledzy ze Szkoły Polskiej przeżywali może najmocniej te wypadki. W sobotę, gdy chłopiec wrócił do domu, tylko te sprawy miał na ustach. Oczy mu błyszczały i kilkakrotnie powtórzył:

- Ach, czemu mnie tam nie było!
- Cóż byś zrobił? - za trzecim takim okrzykiem Róża nie wytrzymała. - Popłynąłbyś do Nowaj Kaledonii?

- Pewnie, że bym popłynął - odparł jak gdyby chodziło o wycieczkę do Wersalu. - Mój plan z pewnością by się powiódł.
- Miałaś więc jakiś plan?
- Nie jeden. - Antoś popatrzył z góry na siostrę.

W całej szkole o niczym Innym się nie mówi. Przestudiowaliśmy mapę Nowej Kaledonii i otaczających ją raf, a stolica Numea...

Róża miała już dość przeklętej wyspy, wolała rozmowę z Zelią, która właśnie poprzedniego dnia odwiedziła pałacyk pani Narzymskiej i widziała talerz.

Antoś, posłyszawszy o czym mówiły, zjawił się w jadalni.

- Muszę zobaczyć ten talerz - oświadczył stanowczo.
- Mówiłam ci, jest taki sam, jak nasz.
- To nic, chcę go zobaczyć - upierał się.
- Możemy tam pojechać w przyszłą niedzielę. Myślałam, że masz żal do Meli...
- Mela to Judasz - rzucił krótko.
- Jak możesz? Wróciła do swojej Mamusi. O nas jednak nie zapomina. Nie byłeś dla niej miły, gdy tu przyjechała.
- Nigdy jej nie wybaczę - wybuchnął.
- Nie wybaczysz? Czego?
- Zdrady.
- Pleciesz głupstwa. Powinieneś ją przeprosić.
- To ona jest winna, nie ja. Zresztą Janek mówi, że dziewuchy to kłamczuchy, a on dobrze je zna, bo ma cztery siostry.
- Antoś! - Róża chwyciła brata za ramiona. - Czy zapomniałeś, że i ty masz siostrę?
- Nie jesteś dziewuchą — zamruczał skonfundowany, a w ogóle, to nie mówi się o obecnych.
- Coraz lepiej. Więc obmawiać wolno wyłącznie tych, co nie mogą się bronić. Czy i tego nauczył cię Janek?
- Różyczko - niezgrabnie pocałował ją w policzek. - Nie gniewaj się. Ale Meli nie przeproszę - dodał z zawziętością.

Mimo tak zdecydowanej postawy zgodził się pojechać w Aleję Cesarzowej „wyłącznie dla talerza", jak zastrzegł.

Mela czekała na ganku.

- Cieszę się. Anto, że przyjechałeś - powiedziała serdecznie, ale Antoś nie rozchmurzył się, pozostał sztywny i oficjalny, choć dom Meli zrobił na nim duże wrażenie.

Zdjął talerz ze ściany i obejrzał go dokładnie.

- Taki sam - mruknął. - Co to znaczy?
- Widocznie było ich więcej - zauważyła Róża.
- Nie - pokręcił głową. - Pamiątam, co mówił Dziaduś. Takie są tylko dwa.
- Dwa były w Warszawie, ale we Francji musiało ich być o wiele więcej.
- Tylko dwa — powtórzył. — Przecież Dziaduś wiedział lepiej od ciebie. Skąd ten talerz znalazł się u Meli?
- Słyszałeś, że to rodzinna pamiątka.

Pani Narzymska z niewyczerpaną cierpliwością udzielała wyjaśnień, opowiadając o dziadku - bohaterze Powstania Listopadowego, którego syn przywiózł talerz do Paryża. O żadnej przysiędze, umowie czy obietnicy dotyczącej tego przedmiotu nigdy nie słyszała.

Antoś wracał zamyślony i milczący, dopiero w domu zalał Różę potokiem słów.

- Dobracki? Któż to taki? - wykrzykiwał. - Nigdy nie słyszałem tego nazwiska; w szkole żaden uczeń tak się nie nazywa.

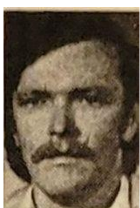
Cdn.

## NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW

1

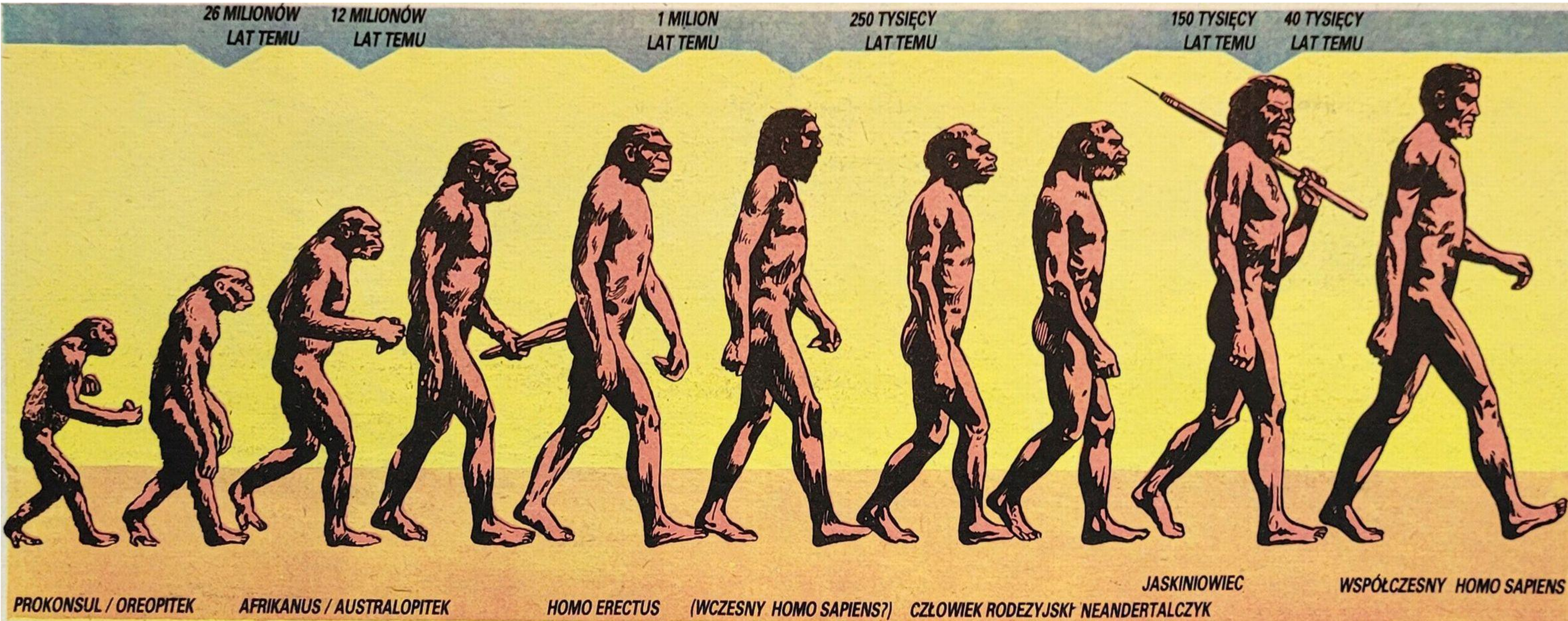
# JAK CZŁOWIEK WYNALAZŁ SAM SIEBIE





**BOLESŁAW ORŁOWSKI - TEKST RYSUNKI - TADEUSZ RACZKIEWICZ**

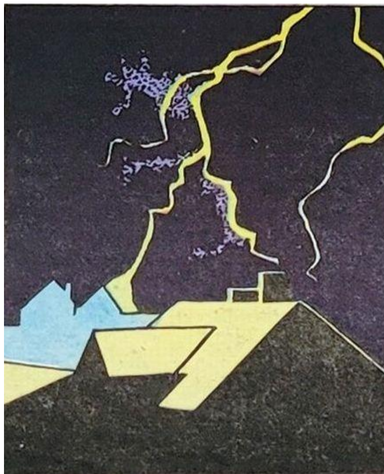
Należymy do gatunku wyjątkowego. Spośród istot zamieszkujących Ziemię, tylko człowiek potrafi dokonywać wynalazków.

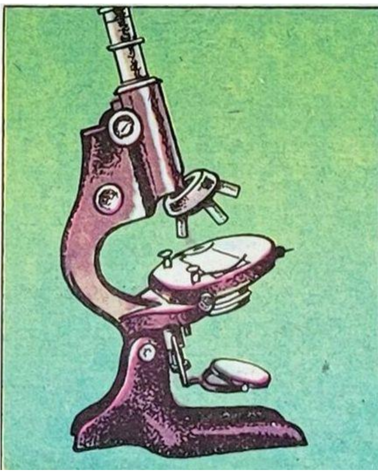



Cóż to oznacza? Otóż, wynajdywanie polega na tworzeniu czegoś nowego, czegoś, co nie istniało przedtem. Może to być jakiś nowy przedmiot codziennego użytku, narzędzie czy urządzenie - na przykład telefon, samolot czy choćby guzik (tak, tak - guzik też musiał zostać kiedyś wynaleziony!). Może to być także nowy sposób wytwarzania stali, ogrzewania domów czy uprawy roli.



Wielu ludzi myśli, że wynajdywanie i odkrywanie to jedno i to samo. To nieprawda. Odkrywa się zjawiska czy prawa istniejące w przyrodzie niezależnie od nas, bez względu na to czy je znamy czy nie. Odkrycie nie jest więc tworzeniem czegoś nowego, tylko poznaniem czegoś przedtem nieznanego - wzbogaceniem ludzkiej wiedzy o świecie. Obie te umiejętności, właściwe człowiekowi, mają zresztą wiele ze sobą wspólnego - nowe odkrycia prowadzą do nowych wynalazków, a nowe wynalazki do nowych odkryć. Na przykład, odkrycie praw załamywania się promieni świetlnych w soczewkach stało się podstawą wynalezienia mikroskopu i teleskopu, a te instrumenty z kolei pozwoliły odkryć niewidoczne gołym okiem bakterie i ciała niebieskie.





Dzięki wynalazkom nasze życie różni się tak bardzo od życia naszych przodków. Dzięki wynalazkom możemy dzisiaj korzystać na co dzień z urządzeń i udogodnień, o jakich nie śniło się nawet najbogatszym i najpotężniejszym ludziom sprzed kilkuset, czy choćby kilkudziesięciu lat. W naszych czasach pojawia się więcej nowych wynalazków, niż kiedykolwiek przedtem. Każde pokolenie jest świadkiem narodzin wielu ważnych nowości, które niepostrzeżenie zmieniają nasze życie i nieustannie rozszerzają możliwości techniczne człowieka na wszelkich polach, od łazienki po kosmos.

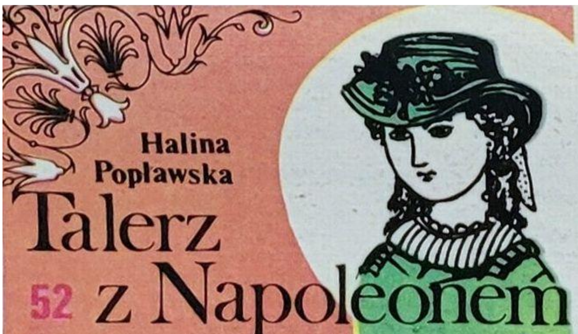
W czasach dzieciństwa mojego dziadka nie było jeszcze ani kina, ani samochodów, ani telefonów. Mój ojciec, jako chłopiec, obserwował początki radia i lotnictwa. Ja i moi rówieśnicy obywaliśmy się w najmłodszych latach bez telewizji, która dla Was jest czymś normalnym jak dawno sięgacie pamięcią. Na naszych oczach dokonuje się więc w zawrotnym tempie coś, co nazywamy postępem technicznym.



Nie zawsze jednak tak było. Dawno, dawno tamu, w gubiących się w pomroce dziejów początkach ludzkości, ów postęp przebiegał niesłychanie powoli. Najpierw, nasi pradawni, małpom podobni przodkowie zaczęli posługiwać się w potrzebie znajdywanymi przypadkowo przedmiotami, na przykład kijem czy kamieniem. Ułatwiało to im obronę przed niebezpieczeństwami, a także zdobywanie pożywienia. Nie było w tym jeszcze niczego nadzwyczajnego - podobnie postępują niekiedy i niektóre inne zwierzęta, przede wszystkim małpy.

Z czasem jednak małpolud posunął się o krok dalej — zaczął celowo gromadzić takie przydatne przedmioty, by mieć je pod ręką w razie potrzeby. Wreszcie, zapewne po upływie niesłychanie długiego czasu, zaczął owe znalezione przedmioty świadomie przystosowywać do własnych celów, starając się im nadać najbardziej użyteczny kształt. Zapoczątkował w ten sposób działalność techniczną, a zarazem i wynalazczość. Uważamy to za moment przełomowy w wydźwiganiu się naszych praprzodków ze świata zwierzęcego na wyższy szczebel - za prapoczątek ludzkości.

Prawdę mówiąc, nie wiemy dokładnie kiedy to nastąpiło. Najdawniejsze, prymitywnie obłupane takie pranarzędzia kamienne (drewniane, oczywiście, nie dochowały się do naszych czasów) wydają się pochodzić sprzed blisko dwóch milionów lat. Tak stara jest ludzkość.




iestety, Berezowski, któremu udało się wyjść niepostrzeżenie ze służącego za mieszkanie więźniów baraku, został zatrzymany przez dozorców tuż pod palisadą, jeszcze w obrębie obozu i chociaż rodacy przedostali się na pilnie strzeżony teren i w odpowiedzi na strzały żandarmów otworzyli ogień, mając nadzieję, że uda im się odbić więźnia, musieli ulec przeważającej liczbie straży.

Wiadomości były skąpe i bardzo niepełne, miejscami nawet sprzeczne.

Trudno było cośkolwiek z nich wywnioskować. Przy okazji poświęcono całe szpalty opisowi wyspy odkrytej w ubiegłym wieku przez Cooka, a w 1853 roku wcielonej do Francji. Opisano przy tym dokładnie, jak to wówczas wiceadmirał Febvrier-Despointes dowodzący z ramienia Francji siłami morskimi Oceanii, uroczyście wziął w posiadanie w Imieniu swojego rządu wyspę i jej przyległości.

Należąca do grupy wysp Melanezji, Nowa Kaledonia zwana też „Wielką Ziemią", znajduje się na wschód od Australii, tuż nad zwrotnikiem Koziorożca.

Chwalono malowniczość wysp tego rejonu, otoczonych pierścieniem raf koralowych, łagodność klimatu tej części Pacyfiku i jego walory zdrowotne, podkreślając jednak, że wskutek złego pożywienia, rany nie goją się tam, a jątrzą się natychmiast, stwarzając niebezpieczeństwo zagrażające życiu.

Czytelnicy gazet dowiedzieli się ponadto, że rząd francuski postanowił wykorzystać odległą wyspę jako doświadczalny teren dla założenia kolonii karnej, zsyłając tam skazanych na ciężkie roboty więźniów, którzy w ten sposób powiększali „pogłowie" białych, oprócz przebywających na swobodzie francuskich kolonistów.

O Berezowskim i jego wspólnikach pisano właściwie niewiele. Szczegóły spisku nie były dotąd znane. Wzmiankowano o zabitych i rannych, nikt jednak nie umiał powiedzieć, czy główny bohater zginął, czy ocalał. A niedoszli wybawiciele? Jedno było wiadome, że ofiary znajdowały się po obu stronach, gdyż podczas starcia ucierpieli zarówno jedni jak i drudzy.

Ludzie czytali z zaciekawieniem, niektórzy pochwalali upór Polaków w dążeniu do uwolnienia nieszczęśliwego zamachowca. Inni oburzali się na nieudolność straży i żandarmów, pilnujących przecież gromady wyjętych spod prawa złoczyńców. Jednakże opinia Francuzów na ogół od początku przychylna była Berezówsklemu.

Róża natychmiast udała się fiakrem na bulwar Montparnasse, ale i tam nie wiedziano nic pewnego.

- Niech się pani modli za tych straceńców, co poświęcili życie dla tego nieszczęśnika — tyle tylko powiedział pan Hutorowicz na jej niespokojne pytania. - To są bohaterowie nie na dzisiejsze czasy.

- Czemu nie na dzisiejsze czasy? - oburzyła się. - Przecież i dziś mamy ludzi, którzy ważą się na wszystko. Chociażby pan Lesseps.

- Co tam Lesseps - pan Hutorowicz machnął lekceważąco ręką. - Owszem, nie odmawiam mu odwagi i uporu w dążeniu do celu. Ale bohaterstwo... to chyba za wiele. A jeśli powiedziałem o naszych rodakach, że to bohaterowie nie na dzisiejsze czasy, co innego miałem na myśli. Tak, tak, panno Różo, bo są wśród nich ludzie, których bohaterstwo nie jest na pokaz, to raczej ciche poświęcenie z dala od ludzkich oczu. Czyny ich wymagają nie lada odwagi, samozaparcia, podeptania własnej dumy, poniekąd nawet upokorzenia się. Słyszała pani zapewne, że Berezowski po procesie został

Dokończenie na str. 7